Murray Leinster

Bagno do góry nogami

(The Swamp Was Upside Down)

Astounding Science Fiction, September 1956
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Hardwick wiedział, że statek Misji obrócił się wokół głównej osi, bo choć panowała na nim sztuczna grawitacja, nie wpływa ona na kanały półkoliste ludzkiego ucha. Zdawał sobie sprawę, że w pewnej chwili zawisł nogami do góry, mimo że jego stopy stały pewnie na podłodze. Nie było to normalne uczucie i poczuł charakterystyczne mdlące, instynktowne napięcie mięśni, którym reaguje się na coś nienormalnego, czy to w świecie rzeczy widzialnych, czy odczuwanych.

Lecz powód obrotu statku był oczywisty. Dotarł już bardzo blisko celu i wygaszał moment bezwładności napędu Lawlora. Dokładnie w chwili, gdy Hardwick był już pewien, że ruch obrotowy został zakończony, młody Barnes – najniższy rangą oficer na statku – wszedł do kwatery oficerskiej i popatrzył na niego życzliwie.

— Statek nie będzie lądował, panie inspektorze — powiedział łagodnie, jak człowiek tłumaczący coś dziecku w wieku poniżej dziesięciu lat. — Nasze rozkazy zostały zmienione. Uda się pan na dół szalupą. Tędy, panie inspektorze.

Hardwick wzruszył ramionami. Był starszym oficerem Misji Kolonialnej, a to był okręt Misji, i został wysłany specjalnie po to, by zabrać go z miejsca jego ostatniego i wciąż niedokończonego zadania. To była pilna sprawa najwyższej wagi. Ten statek od kilku miesięcy nie zajmował się niczym innym poza tym, że udał po niego i przewiózł go do Kwatery Głównej Sektora, na Canna III, która musiała znajdować się gdzieś w pobliżu. Ale ten młody oficer traktował go protekcjonalnie!

Hardwick z pewnym żalem przyznawał, że nie potrafi robić wrażenia na innych. Nie umiał dobrze sprzedać ważności swojej osoby. Nie otrzymywał nawet zwykłych pośpiesznych wyrazów szacunku należnych jego randze – a jeśli już dobrze się nad tym zastanowić, to aż dziw, że w ogóle udało mu się osiągnąć aż tak wysokie stanowisko w Misji.

Teraz młody oficer czekał na niego, zachowując energiczną, uprzejmą i w pewien sposób niespokojną postawę. Hardwick stwierdził z przekąsem, że z łatwością mógłby dać młodemu Barnesowi po uszach. Pamiętał jednak, że on sam również kiedyś był młodszym oficerem na statku Misji. Wtedy jego także przepełniała łagodna protekcjonalność wobec wszystkich ludzi, niezależnie od ich rangi, którzy nie spędzali życia w ciasnych, zatłoczonych kwaterach patrolowca Misji. Jeśli ten młody porucznik, Barnes, będzie miał szczęście, zachowa to uczucie na zawsze. Hardwick nie mógł mu przecież żałować odrobiny zarozumiałości, która sprawiała, że nuda i trudy służby, wydawały mu się przywilejem.

Toteż posłusznie podążył za Barnesem przez drzwi kwatery oficerskiej. Uchylił głowę pod szczeliną wentylacyjną i przeszedł obok rury najeżonej sterczącymi uchwytami zaworów powietrznych. Zajmowała ona prawie całe przejście. Roztaczał się tam zapach oleju, farby i ozonu, jaki

utrzymuje się w sekcjach roboczych wszystkich właściwie dowodzonych statków Misji.

— Tutaj, panie inspektorze — pokierował go Barnes po ojcowsku. — Tędy.

Podał Hardwickowi rękę, aby ten się mógł jej przytrzymać. Hardwick zignorował ten gest. Zrobił krok nad zestawem pomalowanych na biało rur. Dotarł do prawie wolnej drogi do kapsuły szalupy.

— Pański bagaż, panie inspektorze — dodał młodzieniec uspokajająco, — pójdzie za panem natychmiast na dół. Wraz z pocztą.

Hardwick skinął głową. Ruszył w kierunku włazu do kapsuły. Praktycznie ominął już przeszkody spowodowane zamontowanym nowym wyposażeniem. Statki Misji często były zbudowane dawno temu i nie było funduszy na ich przebudowę, gdy pojawiały się ulepszone urządzenia. Tak więc każdy statek Misji mógł być zapchany metalowymi nowościami technologicznymi.

Głośnik na ścianie oznajmił ostro:

— Do wszystkich! Przytrzymać się mocno uchwytu! Zanik grawitacji!

Hardwick złapał się najbliższej rury lecz szybko oderwał od niej rękę – była gorąca – i chwycił się innej, a potem podłożył pod nią drugą rękę. Zaparł się solidnym uściskiem. Młody oficer powiedział uprzejmie:

— Proszę mocno się trzymać, panie inspektorze. Grawitacja statku zaniknie. Jeśli mogę zasugerować…

Grawitacja została wyłączona. Hardwick skrzywił się. Były czasy, kiedy był przyzwyczajony do tego rodzaju rzeczy. Tym razem nagły wypływ powietrza z płuc, zaskoczył go nieprzygotowanego. Jego przepona skurczyła się, gdy ciężar znajdujących się nad nią narządów przestał istnieć. Przez chwilę krztusił się lekko. Poczuł niewielkie rozdrażnienie. Oznajmił stanowczo:

— Panie poruczniku, raczej nie rzucę się przed siebie na łeb na szyję. Służyłem cztery lata jako młodszy oficer na dokładnie takim jak ten statku!

Nie latał we wszystkie strony. Trzymał się rury w dwóch miejscach i uchwycił się jej fachowo, w ściśle profesjonalny sposób, a jego stopy pozostawały pewnie na podłodze. Zaskoczył młodego Barnesa tym trikiem, o którym młodzi oficerowie myślą, że znają go tylko oni.

Barnes wybąknął, speszony:

— Tak jest, panie inspektorze.

Trzymał się mocno w ten sam sposób.

— Wiem nawet — mówił dalej rzeczowo Hardwick — że grawitacja musiała zostać wyłączona, ponieważ zbliżamy się do innego statku o napędzie Lawlora. Nasze cewki grawitacyjne wybuchłyby, gdybyśmy weszli w jego pole z wyłączonym napędem, lub gdyby jego pole wcisnęło nasze do środka.

Młody Barnes wyglądał na wyjątkowo skrępowanego. Hardwick współczuł mu. Dostać po uszach – chociaż delikatnie – za protekcjonalne

potraktowanie starszego oficera, nie mogło być niczym przyjemnym. Hardwick dodał więc:

— I pamiętam też, że kiedy byłem młodszym oficerem, próbowałem kiedyś pouczać Dowódcę Sektora, jak ma uzupełnić zbiorniki swojego skafandra. Tak więc, niech się pan tak nie przejmuje!

Młody oficer był zakłopotany. Ale Dowódca Sektora był tak wysoko w hierarchii organizacyjnej Misji, że jedna jego przypadkowa myśl mogła, popularnie mówiąc, zdmuchnąć głowę z ramion młodego oficera. Jeśli Hardwick, jako młody oficer, naprawdę próbował mówić Dowódcy Sektora, jak uzupełnić zbiorniki swojego skafandra… Przecież…

— Dziękuję, panie inspektorze — powiedział niezręcznie Barnes. — Postaram się już nigdy więcej nie zachować jak ostatni osioł.

— Podejrzewam — stwierdził Hardwick, — że od czasu do czasu zaliczy pan wpadkę. Mnie też się to nieraz przydarzyło! Co u diabła robi tu inny statek i dlaczego nie lądujemy?

— Nie powiedziano mi, panie inspektorze — powiedział młody oficer z szacunkiem. Sposób w jaki odnosił się do Hardwicka uległ całkowitej metamorfozie. — Wiem, że kapitan przyleciał tutaj spodziewając się, że wylądujemy za pomocą sieci lądowniczej, panie inspektorze. Polecono mu, żeby się wycofał. Jest tak samo zaskoczony jak pan, panie inspektorze.

Głośnik na ścianie oznajmił ostro:

— Do wszystkich! Przywrócenie grawitacji! Przywrócenie grawitacji!

I waga powróciła. Hardwick tym razem był na to przygotowany i przyjął to swobodnie. Popatrzył na głośnik, a ten nie powiedział nic więcej. Skinął do młodego człowieka.

— Chyba lepiej będzie, jeśli wejdę do szalupy. Żadnych zmian co do tego, w każdym razie!

Przeczołgał się przez właz kapsuły i wgramolił się do łodzi desantowej – zaprojektowanej dla bardziej nowoczesnego statku, a niezmiernie niewygodnej do startu w takim przestarzałym urządzeniu. Barnes wczołgał się za nim.

— Przepraszam, panie inspektorze. Mam pana zabrać na dół.

Zaryglował od wewnątrz właz do kapsuły, zamknął właz łodzi i zaryglował go również, po czym pstryknął jakimś przełącznikiem.

— Gotowi do odlotu — powiedział do mikrofonu.

Wskazówka miernika na tablicy przyrządów przeskoczyła w pół drogi do zera. Tam się zatrzymała. Mijały sekundy. Zaświeciła się zielona lampka. Młody oficer powiedział:

— Wszystko szczelne!

Wskazówka przeleciała o ćwierć drogi dalej, a potem zaczęła powoli opadać. Kapsuła była opróżniana z powietrza. Wkrótce rozbłysło kolejne światełko.

— Gotowi do wystrzelenia — powiedział szybko młody oficer.

Rozległy się szczęknięcia. Osłona kapsuły rozdzieliła się i dwie połówki jej pokrywy cofnęły się na boki. Pojawiły się gwiazdy. Dla Hardwicka były one ułożone nieznajomo, ale w każdym razie potrafił wyłowić Setona i gromadę Donis, a także pół setki innych gwiazd-znaczników, biorąc pod

uwagę położenie planety Canna III, na której znajdowała się siedziba Sektora Misji Kolonialnej dla tej części galaktyki.

Szalupa delikatnie wysunęła się ze swojego miejsca i pole grawitacji statku urwało się tak gwałtownie, jak to zwykle bywa w przypadku takich pól.

Statek Misji podryfował dalej, co było widać z portów wizyjnych łodzi. Najwyraźniej zwiększył moc napędu, bo łódź wirowała i kołysała się, gdy poruszały nią zmienne prądy wirowe. Statek zrobił się mały i zniknął. Szalupa zawisła w pustce, powoli się obracając. W polu widzenia pojawiło się słońce Canna. Było bardzo duże jak na gwiazdę typu Sol, a jego obrzeże było niemalże pozbawione protuberancji i strumieni płonącego gazu, które charakteryzują starsze słońca tego rodzaju. Ale nawet na trzeciej orbicie zapewniało idealne optimum klimatyczne: ziemski odpowiednik dla położonej w dole planety.

W miarę jak szalupa kontynuowała obrót, w polu widzenia pojawiła się teraz sama planeta. Była niebieska. Ponad dziewięćdziesiąt procent jej powierzchni zajmowały wody, a większość stałego lądu znajdowała się pod północną czapą lodową. Wybrano ją na kwaterę główną Sektora, ponieważ nie nadawała się do zamieszkania przez dużą populację, która mogłaby mieć pretensje do znacznej powierzchni terenu potrzebnej na magazyny i składy zapasów Misji.

Hardwick popatrzył na nią z namysłem. Szalupa znajdowała się oczywiście w odległości około pięciu średnic planetarnych, czyli w umownej odległości, na jaką statki zbliżały się na własnym napędzie do każdej planety. Hardwick bardzo wyraźnie mógł dostrzec pokrywę lodową, a za nią błękitne morze i linię zmierzchu. W kierunku nocnej strony i krawędzi podobnego układu chmur bliżej równika, przesuwała się jakaś burza cykloniczna. Hardwick poszukał kwatery głównej. Położona ona była na wyspie, na około czterdziestu pięciu stopniach szerokości geograficznej, która powinna znajdować się w pobliżu środka wycinka powierzchni planety, widzianego z miejsca, w którym unosiła się szalupa. Ale nie potrafił jej zlokalizować. Widać było tam tylko jedną wyspę, godną jakimkolwiek wspomnienia, i nie była ona duża.

Nic się nie działo. Rakiety łodzi milczały. Młody oficer siedział w milczeniu, patrząc na przyrządy przed sobą. Wydawało się, że czeka aż coś się wydarzy.

Wskazówka jednego z przyrządów szarpnęła się i zatrzymała się tuż przy bolcu ograniczającym. Był to wskaźnik zewnętrznego pola. Jakieś pole, skądś, obejmowało teraz wycinek kosmosu, w którym unosiła się szalupa statku.

— Hm-m-m — powiedział Hardwick. — Czeka pan na rozkazy?

— Tak jest, panie inspektorze — odparł młody człowiek. — Mam rozkaz nie lądować, chyba że na podstawie instrukcji naziemnych, panie inspektorze. Nie wiem dlaczego.

Hardwick obserwował z dystansem:

— Jeden z najgorszych ochrzanów, jaki kiedykolwiek dostałem, miał miejsce w takiej łodzi. Czekałem na rozkazy, a one nie nadchodziły. Zachowywałem się podczas niego bardzo służbowo: sztywna górna warga

i takie tam. Ale czułem że wpadam w poważne kłopoty, kiedy przyszło mi do głowy, że to może być moja wina, iż nie otrzymałem rozkazów.

Młody oficer zerknął szybko na pewien przyrząd, który wcześniej zignorował. Potem stwierdził z ulgą:

— Nie tym razem, panie inspektorze. Komunikator jest włączony, wszystko w porządku.

Hardwick zasugerował:

— Czy nie wydaje się panu, że mogą nas wywołać nie przeszedłszy z częstotliwości okrętowej? Rozmawiali ze statkiem, wie pan.

— Spróbuję, panie inspektorze.

Młody człowiek pochylił się do przodu i przełączył na regulację pasma komunikatora szalupy. Do łączności pomiędzy statkiem a brzegiem, oraz statkiem a jego własnymi łodziami, oczywiście, używane były różne pasma fal. Natychmiast pojawiła się dudniąca fala nośna. Młody oficer pospiesznie zmniejszył głośność i słowa stały się rozróżnialne.

— Co się do diabła z wami dzieje? Potwierdzić!

Młody oficer przełknął ślinę. Hardwick zauważył łagodnie:

— Ponieważ on jest od pana wyższy rangą, niech pan po prostu powie „Przepraszam, proszę pana”.

— P-przepraszam, proszę pana — powiedział Barnes do mikrofonu.

— Przepraszam? — warknął głos z ziemi. — Wywołuję cię już od pięciu minut! Twój kapitan o tym się dowie! Powinienem…

Hardwick sięgnął po znajdujący się przed nim mikrofon.

— Nazywam się Hardwick — rzucił. — Czekamy na instrukcje dotyczące lądowania. Mój pilot nasłuchiwał na częstotliwości łodzi, co było właściwym sposobem postępowania. Wygląda na to, że wywołuje nas pan na niewłaściwym kanale. Naprawdę…

Nastąpiła porażająca cisza. Potem z głośnika popłynęły bełkotliwe przeprosiny. Hardwick uśmiechnął się lekko do młodego Barnesa.

— Wszystko w zupełnym porządku. Zapomnijmy o tym teraz. Ale czy przekaże pan mojemu pilotowi jego instrukcje?

Głos odpowiedział z napięciem:

— Ma pan zostać sprowadzony na dół przez sieć lądowniczą, panie inspektorze. Lądowania na rakietach zostały uznane za zabronione przez samego Dowódcę Sektora, panie inspektorze. Ale już lądujemy jednym statkiem, panie inspektorze. Właśnie sprowadzamy na ziemię inspektora Wernera, panie inspektorze. Jego łódź jest jeszcze w przestrzeni kosmicznej, w odległości dwu średnic, panie inspektorze, i zajmie nam prawie godzinę, aby ściągnąć go na dół bez skrajnego dyskomfortu, panie inspektorze.

— W takim razie poczekamy — powiedział Hardwick. — Hm-m-m. Niech pan połączy się z nami raz jeszcze, zanim zacznie pan szukać nas wiązką lądowniczą. Mój pilot ma dość obiecujący pomysł. I czy mógłby pan wywołać nas wtedy na odpowiedniej częstotliwości, proszę?

Głos na lądzie odparł pełnym nieszczęścia tonem:

— Tak jest, panie inspektorze. Oczywiście, panie inspektorze.

Szum fali nośnej ustał. Młody Barnes oznajmił z wdzięcznością:

— Dziękuję, panie inspektorze! Nie ma nic gorszego niż wyższy rangą oficer przyłapany na błędzie! Dałby mi popalić za swój błąd, sir, i mogłoby to się źle skończyć! — Potem na chwilę przerwał. Dodał niepewnie: — Ale… proszę wybaczyć! Nie mam żadnych obiecujących pomysłów. Niczego, o czym mógłbym zameldować!

— No to, ma pan godzinę na wymyślenie jakiegoś — powiedział mu Hardwick.

W duchu Hardwick czuł niepokój. Rzadko przytrafiały się sytuacje, w których do Kwatery Głównej Sektora wzywano choćby jednego starszego oficera. Ponieważ odległości międzygwiezdne były takie jakie były, a trzydziestokrotność prędkości światła to praktycznie najwyższa możliwa prędkość statku, starsi oficerowie z konieczności działali niezależnie od swoich przełożonych. Wezwanie choćby jednego z nich oznaczało, że wszystkie jego inne zadania musiały ulec zawieszeniu na kilka miesięcy. Ale dwóch… I to Wernera?

Werner dotrze na dół jako pierwszy. Gdyby na dole działo się coś poważnego, Werner bardzo starałby się przylecieć jako pierwszy, nawet choćby tylko o kilka godzin. Był człowiekiem, który lubił sprawiać dobre wrażenie i awansował w służbie szybciej niż Hardwick. To drugie pole Lawlora, to musiał być jego statek schodzący im z drogi.

Młody oficer u jego boku, zawahał się.

— Proszę wybaczyć, panie inspektorze. Jakiego rodzaju pomysł powinienem wymyślić, panie inspektorze? Nie jestem pewien, czy rozumiem…

— To dosyć denerwujące, takie czekanie na statku w warunkach nieważkości — zasugerował cierpliwie Hardwick. — A przeglądanie denerwujących sytuacji i sprawdzanie czy można je poprawić, zawsze jest dobrą praktyką.

Barnes zmarszczył brwi.

— Moglibyśmy wylądować znacznie szybciej na rakietach, panie inspektorze. A… nawet gdy sieć lądownicza sięgnie po nas w kosmos, to ponieważ nie mamy układów sztucznej grawitacji, będą musieli obchodzić się z nami jak z jajkiem, bo inaczej połamaliby nam karki!

Hardwick przytaknął. Barnes rozumował dosyć prosto, ale młodym oficerom nawet proste rozumowanie zajmuje dużo czasu. Muszą bez szemrania wykonywać tak wiele rozkazów, że zwykle przestają robić cokolwiek innego. A jednak do każdego podniesienia stopnia wymagany jest jakiś choćby drobny ślad rozwijającej się zdolności do myślenia. Zaś aby osiągnąć naprawdę wysoki stopień, oficer musi umieć myśleć, co najzwyczajniej w świecie nie będzie możliwe, jeśli nie będzie go się w tym ćwiczyć, w trakcie jego drogi do góry.

Młody Barnes uniósł wzrok, zaskoczony.

— Proszę mnie posłuchać, panie inspektorze! — oznajmił, zaskoczony. — Jeśli sprowadzanie na dół starszego oficera Wernera, z wysokości

dwóch średnic planetarnych zajmuje im godzinę, to sprowadzenie nas stąd, zajmie znacznie jeszcze więcej czasu!

— Zgadza się — potwierdził Hardwick.

— A nie będzie pan chyba chciał spędzić trzech godzin w drodze na ląd, panie inspektorze, po tym jak już przedtem będzie pan na to czekał całą godzinę!

— Nie będę — przyznał Hardwick. Mógł oczywiście wydać odpowiednie rozkazy. Ale jeśli młodszy oficer zostanie pchnięty na tory wykorzystania szarych komórek, może to oznaczać, że pewnego dnia będzie lepszym starszym oficerem. A Hardwick wiedział, jak rozpaczliwie niewielu ludzi nadaje się do sprawowania większej władzy. Wszystko, co da się zrobić, aby powiększyć tę liczbę…

Młody Barnes zamrugał.

— Ale dla sieci lądowniczej nie ma znaczenia, jak wysoko się znajdujemy! — stwierdził zdumionym głosem. — Równie dobrze mogą nas pochwycić w odległości dziesięciu średnic, albo jednej! Wystarczy że pochwycą nas w pole, to gdy przesuną je, przesuną również i nas!

Hardwick ponownie mu przytaknął.

— A więc… więc do czasu, gdy nie skończą sprowadzania drugiej łodzi… przecież… Mogę użyć rakiet i zejść na wysokość jednej średnicy, panie inspektorze! Będą mogli nas tam pochwycić i sprowadzić na dół z wysokości tylko kilku tysięcy mil! Czyli możemy dotrzeć na dół w pół godziny po sprowadzeniu drugiej łodzi, zamiast za cztery godziny od teraz.

— Dokładnie tak — zgodził się Hardwick. — Kosztem kilku chwil myślenia i odrobiny paliwa. Mimo wszystko ma pan swój obiecujący pomysł, panie poruczniku. Powiedzmy, że go pan zrealizuje?

Młody Barnes rzucił okiem na pas bezpieczeństwa Hardwicka. Przerzucił dźwignię gotowości paliwa i sumiennie odczekał konwencjonalne kilka sekund, aby pierwsze cząsteczki paliwa, katalizowane były na zimno. Po rozpoczęciu odpalania, w ostatnich kilku milimetrach szczeliny wtryskowej mogłyby zostać rozgrzane do poziomu gotowości detonacyjnej.

— Odpalam, panie inspektorze — poinformował go z szacunkiem.

Rozległ się dziwaczny odgłos rakiety odpalającej w próżni, kiedy dźwięk przenoszony jest jedynie przez metal rury rakiety. Następnie delikatne, wciskające w fotel uczucie przyspieszenia. Malutka szalupa zakołysała się i wycelowała dziobem w dół, w planetę. Porucznik Barnes pochylił się do przodu i zastukał w komputer pokładowy.

— Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, panie inspektorze — powiedział niezręcznie. — Powinienem sam to wymyślić, panie inspektorze, bez podpowiedzi. Ale problemy podobne do tego, nie pojawiają się zbyt często, panie inspektorze. Z reguły najmądrzej jest postępować zgodnie z rutyną, jakby to były rozkazy.

Hardwick zauważył sucho:

— Z pewnością! Ale jednym z powodów istnienia młodszych oficerów jest fakt, że pewnego dnia będą musieli z nich powstać nowi starsi oficerowie.

Barnes zastanowił się. Potem powiedział ze zdziwieniem:

— Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, panie inspektorze. Dziękuję.

Dalej stukał w klawisze komputera, marszcząc brwi. Hardwick odprężył się w fotelu, utrzymywany w nim przez delikatne przyspieszenie i pas. Nie miał żadnych informacji, na podstawie których mógłby ocenić powód wezwania go do Kwatery Głównej. W ogóle miał ich bardzo niewiele. Ale na dole mieli jakieś kłopoty. Odciągnięto od pracy dwóch starszych oficerów. Werner… w tej chwili Hardwick wolał nie oceniać Wernera. Nie lubił tego człowieka i byłby stronniczy. Ale był on kompetentnym oficerem, choć zdecydowanie jeszcze na dorobku. I był jeszcze on. Zostali wezwani do Kwatery Głównej, gdzie nie mógł lądować żaden statek, ani żadna szalupa. Sieć lądownicza mogła wyrwać statek z przestrzeni kosmicznej, z odległości dziesięciu średnic planety, ściągnąć go z delikatną siłą na dół i postawić na ziemi lekko jak piórko. Sieć lądownicza mogła pochwycić najcięższy, wyładowany do pełna frachtowiec, zatrzymać go na orbicie i sprowadzić na dół z siłą ośmiu g. Ale ci na dole nie chcieli ściągać nawet maleńkiego statku Misji! Zaś szalupa miała zakaz schodzenia na własnych rakietach!

Hardwick starał się ułożyć sobie te elementy w głowie. Oczywiście znał położoną w dole planetę. Kiedy otrzymał rangę starszego oficera, spędził sześć miesięcy w Kwaterze Głównej, ucząc się procedur i praktyk właściwych dla swej zwiększonej władzy. Znajdowała się tam jedna zdatna do zamieszkania wyspa, długa na dwieście mil i szeroka na jakieś czterdzieści. Nie było żadnego innego nadającego się do użytku lądu, poza Arktyką.

Ta jedyna zamieszkała wyspa miała gigantyczne, strome klify skalne po swej nawietrznej stronie, gdzie wielka płyta skalnego podłoża pękła wzdłuż jakiegoś podmorskiego uskoku i przesunęła się w górę, wynurzając się ponad powierzchnię wody. Klify te miały wysokość czterech tysięcy stóp, ale od tego miejsca wyspa bardzo, bardzo łagodnie i stopniowo opadała, aż do chwili, gdy jej zawietrzny brzeg wsuwał się pod niespokojne morze.

Kwatera Główna Sektora została umieszczona w tym miejscu, ponieważ wydawało się, że cywile nie będą chcieli kolonizować tak ograniczonej terytorialnie planety. Ale cywile pojawili się tutaj, ponieważ była tu Kwatera Główna. A teraz każdy centymetr ziemi był przeznaczony pod uprawy, stosowano irygację i intensywne techniki rolnicze, oraz stworzono kilka zakładów hydroponicznych. Ale Kwatera Główna Sektora obejmowała rozległy obszar rezerwowy, na którym w razie potrzeby można było posadzić całą flotę kosmiczną. Stłoczeni nadmiernie cywile czuli rozgoryczenie z powodu wielkiego nieuprawnego terenu, którego Misja potrzebowała do składowania i ewentualnego wykorzystania w sytuacjach alarmowych. Nawet lata temu, kiedy Hardwick tu był, to

rozgoryczenie było widoczne, ponieważ Misja ograniczała cywilną gospodarkę, która się na niej opierała.

Hardwick zastanawiał się nad tymi wszystkimi sprawami. Doszedł do niepokojących wniosków. Teraz uniósł wzrok. Planeta zrobiła się większa. Dużo większa.

— **W**ydaje mi się, że lepiej będzie jeśli, zanim nas pochwycą, wytracimy całą prędkość w stronę planety — zauważył. — Załoga sieci lądowniczej może mieć problemy z pochwyceniem nas tak blisko, jeśli będziemy się poruszać.

— Tak jest, panie inspektorze — odpowiedział młody oficer. — Natychmiast tak zrobię, panie inspektorze.

— Tam na dole, mamy chyba jakieś niezłe piekiełko — oznajmił zawadiacko Hardwick. — Źle to wygląda, że nie pozwalają statkom schodzić z wykorzystaniem sieci. Jeszcze gorzej, że nie pozwalają szalupom lądować na rakietach. — Zrobił krótką przerwę. — Wątpię, by zaryzykowali ponowne wyniesienie nas z powierzchni ziemi w kosmos.

Młody Barnes zakończył swoje obliczenia. Wyglądał na zadowolonego. Zerknął na obecnie już gigantyczną planetę w dole. Wprawnie skorygował kurs maleńkiej łodzi. Potem ostro rozejrzał się wokół siebie.

— Przepraszam, panie inspektorze. Czy powiedział pan, że możemy nie być w stanie ponownie wystartować?

— Chyba mogę niemal z całą pewnością powiedzieć, że nie będziemy — odparł Hardwick.

— Czy… mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego, panie inspektorze?

— Wyraźnie chcą ograniczyć lądowania. W tym tkwi problem. Jeśli chcą ograniczyć lądowania, będą chcieli ograniczyć także starty. Werner i ja zostaliśmy wezwani, więc prawdopodobnie jesteśmy potrzebni. Jednak najwyraźniej nawet nasze lądowanie budzi niepokój. Z pewnością nie wyślą nas ponownie w kosmos. Podejrzewam, że…

Głośnik odezwał się z metalicznym pogłosem:

— Wzywam łódź z sieci lądowniczej! Wzywam łódź z sieci lądowniczej!

— Tu mówi łódź — powiedział Barnes. Popatrzył jednak niespokojnie na Hardwicka.

— Skorygujcie swój kurs! — rozkazał ostro głos. — Pod żadnym pozorem nie wolno wam lądować na rakietach! To rozkaz samego dowódcy Sektora! Odsuńcie się! Za około piętnaście minut będziemy gotowi do pochwycenia was i delikatnego sprowadzenia na dół. Ale tymczasem odsuńcie się!

— Tak jest — odpowiedział młody Barnes.

Hardwick wyciągnął rękę i wziął mikrofon.

— Ty mówi Hardwick — powiedział. — Chciałbym uzyskać pewne informacje. Jaki problem macie tam na dole, że nie możemy użyć naszych rakiet?

— Rakiety są głośne, panie inspektorze. Nawet rakiety niewielkiej łodzi. Mamy rozkazy, aby zapobiec wszelkim możliwym fizycznym

wibracjom, panie inspektorze. Ale mam również rozkaz, aby nie podawać szczegółów przez nadajnik, panie inspektorze.

— Rozłączam się — oznajmił Hardwick, sucho.

Odepchnął mikrofon na bok. Ubolewał nad własnym brakiem agresji. Werner, w takiej sytuacji, powołałby się na swoją rangę i naciskał na przekazanie mu informacji. Lecz Hardwick jakoś nigdy nie był w stanie oprzeć się przekonaniu, że istniały jakieś dobre powody dla rozkazów, które miały wyższy poziom niż jego własne.

Młody oficer wprawił szalupę w obrót wokół jej osi. Uczucie Hardwicka, że coś wciska go w oparcie fotela, nasiliło się.

Kilka minut później głośnik oznajmił:

— Sieć do łodzi. Przygotować się do pochwycenia.

— Jesteśmy gotowi — odpowiedział Barnes.

Mała łódź zadrżała i szaleńczo podskoczyła. Zawirowała. Oscylowała gwałtownie w kosmicznej pustce, łukami o rozmiarze paru sekund. Bardzo, bardzo powoli oscylacje zamarły. Przez chwilę można było odczuć słabiutkie szarpnięcie ciążenia planety, które w pewien subtelny sposób różni się od wrażeń wywoływanych przez sztuczną grawitację. Potem kosmos wywrócił się do góry nogami, gdy łódź została bardzo szybko pociągnięta w stronę pokrytej wodą powierzchni, położonej w dole planety.

Kilka minut później młody Barnes odezwał się przepraszająco:

— Proszę o wybaczenie, panie inspektorze — powiedział nieśmiało. — Może jestem głupi, panie inspektorze, ale nie mogę sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego wibracje lub hałas miałyby sprawiać jakiekolwiek kłopoty na planecie. Jakie szkody mogłyby one wyrządzić?

— To jest planeta oceaniczna — zauważył Hardwick. — Te czynniki mogą sprawić, że ludzie potoną.

Młody oficer zarumienił się. Odwrócił głowę. Zaś Hardwick zreflektował się z żalem, że młodzi zawsze byli tacy wrażliwi. Ale nie odezwał się już ani słowem. Kiedy wylądują pośrodku rozległej, pajęczej sieci lądowniczej – ogromnej metalowej konstrukcji kratownic, o wysokości pełnej połowy mili – Barnes przekona się czy Hardwick miał rację, czy nie.

Tak też się stało. I Hardwick miał rację. Ludzie na Cannie III próbowali uniknąć jakichkolwiek silniejszych wibracji, ponieważ obawiali się utonięcia.

Ich obawy wydawały się być raczej uzasadnione.

II

Trzy godziny po wylądowaniu, Hardwick chodził ostrożnie po szaroburej, błotnistej skale, która dwadzieścia jardów dalej kończyła się stromą przepaścią o głębokości czterech tysięcy stóp. Najeżona ostrymi występami krawędź skalnej ściany, przez większą część mili spadała prosto w dół. Daleko w dole łagodnie falowało morze. Hardwick dostrzegł

długą, bardzo długą linię łodzi powoli wychodzących w morze. Holowały one za sobą coś, co rozciągało się od łodzi do łodzi na wygiętych mocno w łuk linach. Łodzie poruszały się jedna obok drugiej oddalając się pod kątem prostym od skalnych ścian, holując za sobą tę unoszącą się na wodzie, zakończoną łukami rzecz.

Hardwick przyglądał się im przez chwilę, a potem popatrzył na szarawe błoto pod nogami. Powiódł wzrokiem do góry, w przeciwległą od morza stronę tego osobliwego spłachcia pokrywającego stok górski błota. Niedaleko na skale stał maszt. Na górze miał coś, co wyglądało jak kamera obserwacyjna.

Młody Barnes powiedział:

— Przepraszam panie inspektorze. Co robią te łodzie?

— Odciągają na morze film olejowy — odparł nieobecnym tonem Hardwick, — holując między sobą jakąś pływającą linę. Nie ma wystarczającej ilości oleju, aby utrzymać film na powierzchni wody i jest on wyrzucany na ląd. Więc holują go z powrotem w morze. To zatrzymuje fale morskie. Za każdym razem, oczywiście, tracą jakąś część oleju.

— Ale…

— Tutaj wieją pasaty — powiedział Hardwick, nawet nie patrząc w stronę morza. — Zawsze wieją w tym samym kierunku, prawie. Wieją przez trzy czwarte obwodu planety i ich podmuch wzburza morze. Normalne fale, które uderzają w tę ścianę koło nas, mogą mieć sto stóp a od czasu do czasu i więcej. Oczywiście wyrzucają rozbryzgi wody nawet na wysokość dziesięć razy większą, a raz, kiedy byłem tu wcześniej, rozbryzgi sięgały szczytu klifu. Uderzenia fal są potężne. W czasie burzy, jeśli przyłoży pan ucho do ziemi na zawietrznym brzegu, może pan usłyszeć, jak fale rozbijają się o te klify. To są wibracje.

Barnes popatrzył z niepokojem na krawędź klifu i linię łodzi walczących nieustępliwie z oceanem, którego fale z odległości prawie mili w górze, wydawały się mniejsze niż zmarszczki na wodzie. Ale linia łodzi była niewiarygodnie długa. Miała co najmniej dwadzieścia mil, a pomiędzy każdą parą łodzi widać było długą, zakrzywioną linię czegoś, co było rozciągane na powierzchni.

— Ten… film… zmniejsza fale — domyślił się Barnes. — On… działa najlepiej na głębokiej wodzie, jak mi się wydaje. Pradawni o tym wiedzieli. Olej na wodzie. — Zastanawiał się. — Ciężko pracują, by zapobiec wibracjom! Czy naprawdę są one tak niebezpieczne, panie inspektorze?

Hardwick skinął głową w głąb lądu. W odległości ćwierci mili od krawędzi skalnej ściany znajdował się osobliwy, zniszczony, poprzerywany wyrwami wał ziemi. Kiedyś mógł mieć czterdzieści stóp wysokości. Teraz był rozbity i popękany. Wyglądał dość niesamowicie, jakby został odciągnięty z miejsca w którym stał Hardwick, i częściowo rozpadł się w trakcie holowania. W jego zboczu widoczne były pionowe pęknięcia. Pozostały po nim oderwane fragmenty. W jednym miejscu część o powierzchni może ćwierci akra nie nadążyła za resztą, a z jej wierzchołka pochylały się jak pijane drzewa, zaś te na samym brzegu w ogóle spadały na dół. Wzdłuż całego wierzchołka skalnej ściany, jak okiem sięgnąć,

widoczne było to dziwne wycofywanie się ziemi i roślinności z krawędzi klifu.

Hardwick pochylił się i podniósł spod nóg trochę błota. Roztarł je między palcami. Było elastyczne jak glina do modelowania. Zanurzył palec w szarej, tłustej kałuży. Przyjrzał się gęstej cieczy na palcu, a następnie roztarł ją o drugą dłoń. Młody Barnes powielił tę ostatnią czynność.

— To… sprawia wrażenie… jakby mydła, panie inspektorze! — powiedział pustym głosem. — Jakby… mokrego mydła!

— Tak — odparł Hardwick. — To jest najważniejszy problem w tym miejscu.

Zwrócił się do szeregowca z obsługi naziemnej Misji. Skinął głową wzdłuż linii brzegowej.

— Jak bardzo przesunęło się w innych miejscach?

— Wszędzie bardzo mocno, panie inspektorze — zameldował szeregowy, — do dwóch mil i do góry. Jest jedno miejsce, gdzie porusza się w regularnym tempie. Cztery cale na godzinę, panie inspektorze. Wczoraj było trzy i pół.

Hardwick skinął głową.

— Hm-m-m. Wrócimy do kwatery głównej. Paskudna sprawa!

Zaczął brnąć, po wyjątkowo grząskim podłożu, w stronę pojazdu, który ich tu przywiózł. Nie był to zwykły samochód naziemny. Zamiast na oponach czy kołach, toczył się na wiotkich, częściowo tylko napompowanych, pięciostopowych wałkach. Były one kompletnie niewrażliwe na przyczepność czy śliskość terenu, a gdyby w trakcie transportu pojazd wypadł za burtę, unosiłby się na wodzie. Obecnie wałki były jednak grubo oblepione szarym błotem z klifu.

Przechodząc wzdłuż samochodu, Hardwick dostrzegł wzorzec skały pod błotem. Była osobliwie powyginana, jak coś, co raczej się zsiadło, niż ostygło. I prawdę mówiąc uważano, że zestalała się powoli pod wodą przy tak monstrualnym ciśnieniu, że nawet roztopiona skała nie mogła zmienić się w parę. Teraz jednak znajdowała się nad wodą.

Hardwick wsiadł do ciężarówki, Barnes podążył za nim. Pojazd na wałkach wykręcił. Ruszył w kierunku poprzerywanej bariery ziemnej. Jego pięciostopowe, wiotkie wałki wydawały się raczej przepływać nad przeszkodami niż je pokonywać. Wielkie bryły suchego pyłu ugniatały je i nie rozpadały się. Nie było widać żadnych kamieni.

Hardwick zmarszczył do siebie brwi. Na górze wszystko wyglądało prawie normalnie. Prawie. Od klifu prowadziła niemal autostrada. Na pierwszy rzut oka wydawała się idealna. Ale przez sto jardów była popękana na środku, a potem pęknięcie skręcało w bok i znikało. W nieco większej odległości widać było wielkie drzewo, które nachylało się nad jezdnią jak pijane. Milę dalej wzdłuż drogi, jej powierzchnia wyboczyła się, jakby coś nieodparcie wypychało ją do góry. Ciężarówka przetoczyła się przez wyrwę.

Trzeba powiedzieć, że ruch ciężarówki był idealnie gładki. Nie wytwarzała żadnych wibracji. Ale i tak zwolniła, zanim przejechała przez miejsce, w którym blisko siebie po obu stronach drogi skupiały się domy – parę domów mieszkalnych i jeden lub dwa sklepy.

W domach i wokół nich widać było ludzi, ale nic nie robili. Niektórzy wpatrywali się w ciężarówkę Misji wrogimi spojrzeniami. Inni ostentacyjnie odwrócili się do niej plecami. Stały tam powyciągane z garaży i gotowe do drogi pojazdy, ale żaden nie jechał. Wszystkie – co bardzo dziwne – stały przodem w kierunku, z którego przyjechała ciężarówka na dmuchanych wałkach.

Ciężarówka pojechała dalej. W pewnym momencie widoczny stał się niezwykle płaski charakter krajobrazu. Wydawało się, że można było spoglądać na niemal nieskończone odległości. Oddalony o czterdzieści mil ocean widać było jako nitkę błękitu pod linią horyzontu. Wyspa miała niemal idealnie płaską powierzchnię. Lecz jej strona nawietrzna unosiła się na wysokość czterech tysięcy stóp ponad morzem, a strona zawietrzna wślizgiwała się delikatnie pod jego fale. Nigdzie nie było widać żadnego wzniesienia. Żadnych gór. Żadnych dolin poza bardzo niewielkimi wąwozami wyżłobionymi przez deszcz. Nawet one były wypełnione, lub poprzecinane tamami, i włączone do systemu irygacyjnego.

W jednym miejscu, wzdłuż takiego kanału wodnego znajdował się rząd drzew. Połowa z tego rzędu była przewrócona, a część pozostałych, przechylona. Reszta stała pionowo i pewnie.

Cała roślinność była doskonale znajoma. W większości kolonii przynajmniej część roślinności, bezpośrednio wywodziła się z macierzystej planety – Ziemi. Ale ta wyspa na Cannie III znajdowała się nad wodą nie więcej niż może trzy lub cztery tysiące lat temu. Nie było czasu na rozwój miejscowej roślinności. Kiedy Misja ją przejęła, rosły tu tylko pływowe wodorosty morskie, z których jedynie jeden rodzaj był w stanie rozprzestrzeniać się w podobny do sieci sposób, na ziemi i na wodzie. Ziemskie rośliny wypleniły je, wszędzie zrobiło się zielono i wszystko było sprowadzone przez człowieka.

Ale z ziemią było coś nie tak. W tym miejscu wierzchnia warstwa gleby wybrzuszała się, a wysokie łodygi kukurydzy wyrastały ekstrawagancko w różnych kierunkach. W pewnym miejscu widać było wąską, pozbawioną brzegów szczelinę w powierzchni ziemi. Rów irygacyjny odprowadzał do niej wodę. Nie była wypełniona do pełna.

Barnes spytał strapiony:

— Przepraszam panie inspektorze, ale jak do diabła to się stało?

— To kwestia nawadniania — wyjaśnił cierpliwie. Hardwick. — Cała tutejsza gleba kiedyś stanowiła dno oceanu, tworzy ją coś, co nazywa się mułem globigerynowym[1]. Nie ma tutaj piasku. Nie ma kamieni. Jest tylko

[1] Muł globigerynowy - osad morski koloru białawego lub szarego, tworzy się głównie wskutek opadania na dno wapiennych resztek planktonu nie zmieszanego z osadami mechanicznymi. Muł globigerynowy występuje na

skała macierzysta i niegdyś głębinowy muł. I – część z niego, znajdująca się pod spodem, nie jest już „niegdyś”. Z powrotem zmieniła się w muł globigerynowy.

Machnął ręką po otaczającym ich terenie. Kiedyś był on idealnie uporządkowany. Każda stopa kwadratowa ziemi była uprawiana. Drogi miały ograniczoną szerokość, a domy były schludne i zadbane. Był to, być może, najbardziej idealnie cywilizowany krajobraz w galaktyce. Ale Hardwick dorzucił:

— Powiedział pan, że materiał ten wydaje się być podobny do mydła. W pewnym sensie on zachowuje się jak mydło. Leży na lekko nachylonej, bardzo gładkiej skale, jak mydlany placek na lekko pochylonej blasze. I w tym tkwi problem. Dopóki kostka mydła jest od spodu sucha, nie porusza się. Nawet jeśli obleje pan ją wodą, tak jak w przypadku deszczu, góra się pomoczy, a woda spłynie, ale spód nie przemoknie zanim całe mydło się nie rozpuści. Dopóki tak przebiegał cały proces tutaj, wszystko było w porządku. Ale oni zaczęli nawadniać.

Minęli rząd schludnych domków zwróconych frontem w stronę drogi. Jeden z nich był całkowicie zawalony. Pozostałe wyglądały zupełnie normalnie. Ciężarówka na napompowanych wałkach pojechała dalej.

Hardwick mówił dalej, marszcząc brwi:

— Chcieli, żeby woda wniknęła w glebę. Więc to zorganizowali. Niewielkie jej ilości nie przyniosły żadnej szkody. Porastające glebę rośliny znów ją osuszyły. Jedno drzewo odparowuje tysiące galonów dziennie przy dobrym stałym wietrze. W pierwszych dniach pojawiło się kilka osuwisk, zwłaszcza gdy burzowe wichury uderzały w klify skalne, ale ogólnie rzecz biorąc, ziemia po pierwszej uprawie była mocniej zakotwiczona, niż przed przybyciem kolonistów.

— Ale – nawadnianie? Morze nie jest słodkie, prawda?

— Rośliny uzdatniające wodę — wyjaśnił sucho Hardwick. — Systemy wymiany jonowej. Zainstalowali je i mieli tyle słodkiej wody, ile tylko mogli sobie zażyczyć. A życzyli sobie bardzo dużo. Zaczęli orać głęboko, żeby woda wsiąkała w ziemię. Zbudowali tamy na ciekach wodnych – i woda zaczęła wsiąkać. To, co robili, było czymś podobnym do wiercenia dziur w kostce mydła, o której mówiłem dla ilustracji, przed chwilą. Woda spłynęła na samo dno. Co by się wtedy stało?

Barnes odparł:

— No cóż… spód zrobił się mokry… i śliski! Jakby został nasmarowany!

— Nie nasmarowany — poprawił Hardwick. — Namydlony. Mydło jest lepkie. To jest istotna różnica – i to różnica szczęśliwa! Ale najmniejsze drgania wprawiałyby je w ruch. I tak też się dzieje. Ziemia zaczęła się poruszać. Więc ludzie chodzą teraz na paluszkach. Gorzej, chodzą po odpowiedniku kostki mydła, która coraz bardziej podmaka od spodu. Już się ześlizguje jak lepka substancja – niechętnie. Ale pomimo filmu olejowego, który starają się utrzymać na miejscu od nawietrznej, wciąż mamy do czynienia z uderzeniami morza. Nadal występują wibracje w

średnich głębokościach morskich. Zawiera co najmniej 30% węglanu wapnia, a głównym jego składnikiem są pelagiczne wapienne, otwornice z rodzaju Globigerina (przyp. tłum. – za Wikipedią)

podłożu. I tak powolne, delikatne i stopniowe osuwanie się warstwy gleby, postępuje.

— A potem pomyśleli — rzucił nagle Barnes, — że pochwycenie statku przez sieć lądowniczą może dawać efekty jak trzęsienie ziemi. — Urwał. — Trzęsienie ziemi, w tej sytuacji…

— Aktywność wulkaniczna na tej planecie jest niewielka — wyjaśnił mu Hardwick. — Ale oczywiście od czasu do czasu występują trzęsienia tektoniczne. To one stworzyły tę wyspę.

Barnes zauważył z niepokojem:

— Nie wydaje mi się, panie inspektorze, żebym dobrze spał, gdybym tu mieszkał.

— Na razie pan tu mieszka. Ale w pańskim wieku, jak sądzę, będzie pan pan spał.

Ciężarówka na wałkach skręciła, podążając za drogą. Jezdnia była bardzo równa, a ruch ciężarówki po niej idealnie gładki. Fakt że nie powodowała drgań wyjaśniał, dlaczego pozwolono jej używać, gdy wszystkie inne pojazdy zostały uziemione. Hardwick zastanawiał się jednak z niepokojem, że wszystko to nie tłumaczy rozkazów dowódcy sektora zabraniających lądowania na rakietach statkowym szalupom. Prawdą było, że żyjąca powierzchnia wyspy spoczywała na pochyłej skale i że gdyby jej dno stało się wystarczająco mokre, mogłaby zsunąć się do morza. Już się poruszyła. Przynajmniej w jednym miejscu poruszała się z prędkością czterech cali na godzinę. Ale to był przepływ substancji lepkiej. Wszelkie drgania mogłyby go wzmocnić i z pewnością uderzenia morza o klify po nawietrznej, powinny zostać zmniejszone wszelkimi możliwymi sposobami.

Nie oznaczało to jednak, że hałas lądowania na rakietach miałby równie katastrofalne efekty, albo że naprężenia sieci lądowniczej, która chwytała statek kosmiczny na orbicie i sprowadzała go na dół, mogłyby spowodować osunięcie się ziemi. Musiało być coś jeszcze – chociaż sytuacja ludności cywilnej wyspy z pewnością była już wystarczająco poważna. Gdyby rozpoczął się jakikolwiek naprawdę potężny ruch gleby, lepki lub jakikolwiek inny; gdyby jakakolwiek znaczniejsza część powierzchni wyspy zaczęła się poruszać – wszystko uległoby zniszczeniu. A wraz z tym wszystkim, również i ludzie. Jeśli nawet niektórzy by ocaleli, można by było ich liczyć w dziesiątkach.

Przed ich oczyma wyrosła wysoka ściana z ubitej ziemi, otaczająca tereny magazynowe Kwatery Głównej. Kwatera Główna Sektora została utworzona w tym miejscu, gdy nie było jeszcze tutaj żądnych innych mieszkańców. Rozsiewano nasiona i sadzono drzewa, równolegle z budową budynków Misji. Prawdę mówiąc, wszystkie kwatery główne były budowane na niezamieszkanych planetach. Ale koloniści podążali za personelem Misji. Żony i dzieci, potem sklepikarze i rolnicy, a teraz cywilni technicy i w końcu nawet politycy, przybywali w miarę jak rosła populacja nie-Misji. Obecnie Kwatera Główna Sektora była przyjmowana niechętnie, ponieważ zajmowała jedną czwartą wyspy. Utrzymywała ona zbyt dużą część użytecznej powierzchni planety poza cywilnym użytkowaniem. A wyspa była w dzisiejszych czasach rozpaczliwie przeludniona.

Jednak wydawało się również, że była skazana na zagładę.

Gdy ciężarówka na wałkach bezszelestnie toczyła się w stronę Kwatery Głównej, runął stumetrowy odcinek muru. Wzbiła się potężna chmura kurzu. Rozległ się huk upadającego, utwardzonego muru. Kierowca ciężarówki zrobił się biały jak śmierć. Cywil koło drogi stanął przed resztkami muru, załamując ręce i stał, czekając, aż poczuje, jak ziemia pod jego stopami zacznie gładko sunąć w stronę odległego morza. Jakieś dwadzieścia jardów od bramy, stał słupek z sygnalizatorem świateł ulicznych. Powoli się pochylał. Przy czterdziestu pięciu stopniach nachylenia zatrzymał się i zawisł nieruchomo. Pięćdziesiąt jardów od bramy, w poprzek drogi pojawiła się nowa szczelina. Jednak nie wydarzyło się nic więcej. Zupełnie nic. A przecież nie można było mieć pewności, że nie został przekroczony jakiś punkt krytyczny, po którym musiało nastąpić stopniowe unoszenie się i pełzanie ziemi w kierunku oceanu.

Barnes złapał oddech.

— Takie rzeczy… sprawiają, że człowiek czuje się dziwnie — stwierdził niepewnie. — A… wstrząs w rodzaju tego przewróconego muru, może być początkiem zjazdu wszystkiego do morza!

Hardwick nie odezwał się nawet słowem. Przyszło mu do głowy, że na terenach Misji nawadnianie nie było prowadzone. Kiedy ciężarówka wjechała w bramę Kwatery Głównej i potoczyła się gładko po krętej drodze przez zdecydowanie parkowe otoczenie, nadal marszczył brwi w głębokim zamyśleniu – a nawet zmartwieniu.

Zatrzymali się przed budynkiem, który w Kwaterze Głównej był siedzibą dowódcy Sektora. Na wyłożonym plastikowymi płytkami tarasie u szczytu kilku schodków, drzemał spokojnie duży brązowy pies. Kiedy Hardwick wysiadł z ciężarówki, pies z wolna wstał. Widząc, że Hardwick, a za nim Barnes, weszli na schody, pies podszedł ze swoistą dostojną uprzejmością, by czynić honory domu. Hardwick powiedział:

— Dobry piesek.

Weszli do środka. Pies spokojnie podążył za nimi. Wnętrze budynku było niesamowicie puste. Panowała w nim jakaś dźwięcząca w uszach cisza, aż wreszcie gdzieś zaczął klikać dalekopis.

— Chodźmy — powiedział Hardwick. — Biuro dowódcy Sektora znajduje się w tę stronę.

Młody Barnes ruszył za nim ze zdenerwowaniem.

— Wydaje się to dziwne, że nikogo tu nie ma. Żadnych sekretarzy, żadnych wartowników, w ogóle nikogo.

— A czemu niby miałby ktoś tu być? — spytał ze zdziwieniem Hardwick. — Strażnicy przy bramie zatrzymują cywili na zewnątrz. A nikt w służbie nie będzie niepokoił dowódcy bez powodu. Przynajmniej nie więcej niż raz!

Lecz przez lśniącą, pustą podłogę przebiegł złowieszczy trzask.

Ruszyli korytarzem. Zabrzmiały głosy i Hardwick je wychwycił, a łapy psa stukały za nimi po podłodze. Weszli do przestronnego, komfortowo

nijakiego pokoju z wysokimi oknami – a naprawdę, drzwiami – otwierającymi się na zielony trawnik na zewnątrz. Dowódca Sektora, Sandringham, siedział spokojnie oparty na krześle, paląc papierosa. Werner, drugi z wezwanych starszych oficerów, usiadł wyprostowany na krześle, naprzeciwko niego. Sandringham machnął serdecznie ręką do Hardwicka.

— Tak szybko z powrotem? Wyprzedzasz harmonogram we wszystkich punktach! To jest Werner, właśnie wrócił z kontroli sytuacji w składzie paliwa.

Hardwick wyglądał jakby nagle uderzył w niego piorun. Ale skinął głową, zaś Werner próbował się uśmiechnąć lecz nie udało mu się to. Był kompletnie biały.

— Mój pilot ze statku, który został uziemiony razem ze mną — przedstawił go Hardwick. — Porucznik Barnes. Bardzo obiecujący młody oficer. Skrócił czas mojego lądowania o parę godzin. Poruczniku, to jest dowódca sektora Sandringham i pan Werner.

— Siadaj, Hardwick — chrząknął Szef. — Pan też, panie poruczniku. Jak to wygląda na klifie, Hardwick?

— Podejrzewam, że wie pan to równie dobrze jak ja — odparł Hardwick. — Zdaje się, że widziałem kamerę wizyjną umieszczoną tam na maszcie.

— Zgadza się. Ale nie ma to jak inspekcja na miejscu. Teraz jesteś z powrotem, jak to wygląda dla ciebie?

— Nieadekwatnie — stwierdził Hardwick z pewną suchością w głosie. — Nieadekwatnie do wyjaśnienia pewnych rzeczy, które zauważyłem. Ale sytuacja jest bardzo zła. Jej stopień zła zależy od lepkości błota przy skalnym podłożu, na całej wyspie. Pozostałe w tamtym miejscu błoto przypomina zupę grochową. Wygląda naprawdę źle! Ale jak wygląda lepkość przy podłożu skalnym, tutaj gdzie gleba mocniej na nie naciska – i mam nadzieję, że jest bardziej sucha niż na górze?

Sandringham chrząknął.

— Dobre pytanie. Posłałem po ciebie, Hardwick, kiedy zaczęło to wyglądać źle, zanim ziemia naprawdę zaczęła się osuwać. Kiedy pomyślałem, że może się to zacząć w każdej chwili. Lepkość wynosi średnio trzy razy dziesięć do szóstej. Co wciąż daje nam pewną swobodę. Ale nie wystarczająco dużą.

— Nawet zupełnie niewystarczającą! — powiedział Hardwick niecierpliwie. — Nawadnianie powinno zostać wstrzymane już dawno temu!

Dowódca Sektora wykrzywił się w kwaśnym grymasie.

— Nie mam władzy nad cywilami. Oni mają swój własny rząd planetarny. A czy pamiętasz? — Zacytował: — „Cywilne placówki i rządy mogą korzystać z porad urzędników Misji Kolonialnej i mogą kierować do nich prośby, lecz w każdym przypadku taka porada lub prośba ma być rozpatrywana wyłącznie pod względem merytorycznym i w żadnym wypadku nie może być przedmiotem umowy quid-pro-quo.” — Dodał ponuro: — To znaczy, że nie wolno im grozić. Rzucano mi to w twarz za każdym razem, gdy prosiłem ich o ograniczenie nawadniania w ciągu

ostatnich piętnastu lat! Radziłem im, żeby w ogóle nie nawadniali, ale oni tego nie rozumieli. To zwiększało dostawy żywności, a oni przecież potrzebowali więcej żywności. Więc szli coraz dalej. Tylko w zeszłym roku zbudowali dwie nowe odsalarnie wody morskiej!

Werner oblizał wargi. Powiedział głosem, który był wyższy niż Hardwick pamiętał:

— Co akurat, wychodzi im na dobre! Wychodzi im na dobre!

Hardwick czekał.

— **T**eraz — powiedział Sandringham — domagają się wpuszczenia na tereny Kwatery Głównej Sektora, dla bezpieczeństwa. Mówią, że myśmy nie nawadniali, więc ziemia, którą zajmujemy, nie będzie się osuwać. Żądają, abyśmy zabrali ich wszystkich tutaj, tak by siedzieli sobie na tyłkach, dopóki reszta wyspy nie zsunie się do morza lub nie. Jeśli nie, chcą tu zaczekać, aż gleba znów stanie się stabilna, bo zaprzestali nawadniania.

— Może dobrze by się stało, gdybyśmy ich wpuścili! — zawołał Werner piskliwym z gniewu głosem. — Sami są sobie winni, że znaleźli się w takiej sytuacji!

Sandringham machnął ręką.

— Wymierzanie abstrakcyjnej sprawiedliwości, nie jest moim zadaniem. Wyobrażam sobie, że zajmują się tym bardziej kompetentne urzędy. Ja muszę jedynie sprostać obiektywnej sytuacji. Co — przerwał — jest ogromnym zadaniem! Hardwick, zajmowałeś się już problemami na planetach bagiennych. Co można zrobić, aby powstrzymać osuwanie się ziemi na wyspie, zanim cała wyleci za burtę?

— Niewiele, tak od ręki — odparł Hardwick. — Proszę dać mi czas, a coś uda mi się wymyślić. Ale każdy naprawdę solidny sztorm, z mocno wzburzonym stanem morza i dużą ilością deszczu, może zmieść całą cywilną kolonię. Ta wartość lepkości jest bliska stanu beznadziei – jeśli nie przekracza jego granicy.

Dowódca Sektora spoglądał beznamiętnie.

— Ile on ma czasu, Werner?

— W ogóle! — oznajmił piskliwie Werner. — Jedynym możliwym rozwiązaniem jest próba przeniesienia jak największej liczby ludzi na stały ląd w Arktyce! Łodzie muszą być wypełnione po brzegi – sytuacja tego wymaga! A jeśli te dwa statki kosmiczne na orbicie, zostaną wysłane aby zebrać flotę, i jeśli jak najwięcej ludzi zostanie natychmiast przeniesionych – być może uda się kogoś ocalić!

Hardwick rozłożył ręce.

— Tak sobie myślę — oznajmił, — na czym polega naprawdę poważny problem. Tu chodzi o coś więcej niż ta sprawa ześlizgującej się gleby! W przeciwnym przypadku… jestem pewien, że nawet porucznik Barnes by to wymyślił… wpuścilibyśmy ludność cywilną na tereny Kwatery Głównej, aby siedziała na tyłkach i zaczekała na lepsze czasy.

Sandringham zerknął na młodego Barnesa, który zarumienił się gorąco na tę uwagę.

— Jestem pewien, że ma pan dobre powody, proszę pana — oznajmił z zakłopotaniem.

— Mam kilka — odpowiedział sucho dowódca Sektora. — Z jednej strony, jak długo odmawiamy wpuszczenia ich do środka, są spokojniejsi. Nie wyobrażają sobie, że moglibyśmy ich zawieść. A gdybyśmy ich wpuścili, wpadliby w panikę i walczyliby o pierwszeństwo dostania się tutaj. Byłaby tam rzeź na pełną skalę! Byliby pewni, że katastrofa jest kwestią kilku minut. I tak by się to skończyło!

Przerwał na chwilę i powiódł wzrokiem od jednego do drugiego ze starszych oficerów.

— Kiedy posłałem po was — stwierdził z przekąsem, — chodziło mi o to, abyś ty, Hardwick, zajął się ewentualnym osunięciem ziemi. Werner miał się zająć public-relations, czyli wystraszyć cywili na tyle, by na to pozwolili. Obecnie, nie jest to już takie proste!

Wziął głęboki oddech.

— To czysty przypadek, że zbudowano tutaj Kwaterę Główną Sektora. Albo może – Opatrzność. Dowiemy się tego w przyszłości! Ale dziesięć dni temu odkryto, że w magazynie paliwowym dla statków zepsuł się jakiś przyrząd. Nie zarejestrował on rozszczelnienia zbiornika. I… zbiornik przeciekał. Wiesz, że paliwo okrętowe jest nieszkodliwe, dopóki jest schłodzone. Wiesz, jak wygląda sprawa, gdy nie jest. Rozpuszczone w znajdującej się w glebie wodzie, nie tylko ulega katalizie do stanu wybuchowego, ale jest piekielnie żrące i wyżarło dziury również i w innych zbiornikach – a możesz chyba sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby spróbowano coś z tym zrobić?

Hardwicka ogarnęło uczucie niedowierzania i szoku. Werner załamał ręce.

— Gdybym tylko dostał w swoje ręce tego człowieka, który zrobił ten wadliwy zbiornik! — powiedział ochryple. — On zabił nas wszystkich! Wszystkich!!! Chyba że dotrzemy na stały ląd w Arktyce!

Dowódca Sektora powiedział spokojnie:

— To dlatego nie mogę ich wpuścić, Hardwick. Nasze zbiorniki magazynowe sięgają do skalnego podłoża. Paliwo które wyciekło – teraz już ogrzane – przesiąka wzdłuż skały macierzystej i koroduje inne zbiorniki, poza tym jest wchłaniane przez glebę i rozpuszcza się w wodach gruntowych. Wycofaliśmy cały personel ze wszystkich terenów, do których mogło przesiąknąć.

Hardwick poczuł lekkie muśnięcie zimna na karku.

— Podejrzewam — stwierdził kwaśno — że wyszli na paluszkach, wstrzymując oddechy, oraz że uważali, by niczego nie upuścić ani nie zaszurać krzesłami, kiedy wstawali by wyjść. Przynajmniej ja bym tak zrobił! Najdrobniejsza nawet przyczyna, rzecz jasna, może spowodować wybuch. Ale to i tak musi się wydarzyć! Oczywiście! Teraz rozumiem, dlaczego nie mogliśmy wylądować na rakietach!

Muśnięcie zimna zdawało się rozprzestrzeniać, gdy pełniej uświadomił sobie sytuację. Jeżeli w trakcie wytwarzania paliwo okrętowe jest oziębiane, jest ono w zasadzie najbardziej bezpieczną substancją, jaką można sobie wyobrazić. A przynajmniej dopóki, dopóty jest przechowywane w stanie schłodzonym. Jest to związek energetyczno-chemiczny, jego atomy połączone ze sobą wymuszonymi wiązaniami walencyjnymi. Ale do wymuszenia wiązań walencyjnych między opornymi atomami potrzebne są ogromne ilości energii.

Kiedy paliwo okrętowe ogrzewa się lub jest katalizowane, wykracza o jeden krok poza proces swego wytwarzania. Przechodzi modyfikację, której zapobiegało schłodzenie. Zmienia swoją konfigurację molekularną. Coś, co było stabilne, ponieważ było zimne, staje się czymś, co jest dramatycznie niestabilne ze względu na swoją strukturę. Muśnięcie piórkiem może je zdetonować. Jeden krzyk może spowodować jego wybuch.

W silnikach statków spalane jest ono naprawdę tylko cząsteczka po cząsteczce, katalizowane do stanu niestabilnego, ciągle utrzymywane w chłodzie, nawet w miejscu, w którym ma wybuchnąć. A ponieważ energia uzyskiwana podczas detonacji pochodzi z energii wymuszonych wiązań… zawartość energii w paliwie okrętowym jest znacznie większa niż mógłby zawierać zwykły związek chemiczny. Paliwo dla statków zawiera ledwie mierzalny ułamek mocy atomowego materiału wybuchowego. Lecz jest o wiele bardziej praktyczne do użytkowania na pokładzie statku.

W chwili obecnej chodziło, oczywiście, o to, że wyciekło ono do ziemi i ogrzało się… dlatego… praktycznie każde drgania mogły spowodować jego detonację. Nawet rozpuszczone, może wybuchnąć, ponieważ nie jest to reakcja chemiczna, ale uwolnienie energii.

— Każdy solidny, ulewny deszcz — powiedział Sandringham naprawdę bardzo spokojnym tonem, — który spadnie na ten koniec wyspy, bez wątpienia zdetonuje kilka dziesiątków ton paliwa okrętowego, które wyciekło. A to powinno rozrzucić, katalizować i zdetonować resztę. Eksplozja powinna być równoważna wybuchowi co najmniej megatonowej bomby termojądrowej. — Zrobił chwilę przerwy i dodał z ironią: — Całkiem niezła sytuacja, co? Gdyby cywile nie nawadniali ziemi, moglibyśmy ewakuować Kwaterę Główną i pozwolić na wybuch paliwa - bo on i tak nastąpi. Gdyby paliwo nie wyciekło, moglibyśmy wpuścić cywili, dopóki ziemia na wyspie nie zdecyduje się, na co ma ochotę. Każda z tych dwu rzeczy dawałaby w wyniku paskudną sytuację, ale ich kombinacja…

Werner powiedział ostro:

— Ewakuacja do Arktyki to jedyna możliwa reakcja! Część ludzi można uratować! Część!!! Wezmę łódź oraz sprzęt, popłynę na zwiad i przygotuję jakieś schronienie.

Zapadła martwa cisza. Brązowy pies, który szedł za Hardwickiem z zewnętrznego tarasu, teraz głośno ziewał. Hardwick wyciągnął do niego rękę i z nieobecnym roztargnieniem zaczął drapać go po uszach. Młody Barnes przełknął ślinę.

— Proszę wybaczyć, panowie — powiedział niezręcznie. — Ale jakie są prognozy pogody?

— Nadal niezłe — poinformował go uprzejmie Sandringham. — Dlatego kazałem Hardwickowi i Wernerowi wylądować. Co trzy głowy to nie jedna. Zaryzykowałem ich życie dla ich mózgów.

Hardwick zamyślony przez cały czas drapał brązowego psa po uszach. Werner oblizał wargi. Młody Barnes wodził wzrokiem od jednego do drugiego z nich. Potem popatrzył z powrotem na dowódcę Sektora.

— Panie komendancie — odezwał się niezręcznie. — Myślę… myślę, że szanse są całkiem spore. Pan Hardwick, panie komendancie – on sobie z tym poradzi!

Potem zarumienił się intensywnie w reakcji na swoją zarozumiałość. Wygłaszanie pocieszających komentarzy do dowódcy Sektora – to było porównywalne z tłumaczeniem mu, jak ma uzupełnić zbiorniki skafandra próżniowego.

Ale Szef Sektora skinął głową z poważną aprobatą i zwrócił się do Hardwicka, aby usłyszeć, co ma on do powiedzenia.

III

Zawietrzna strona wyspy bardzo łagodnie schodziła do wody. Z łodzi na morzu – powiedzmy, z odległości kilku mil – linia brzegowa wyglądała nisko, płasko i spokojnie. Widać było domy i unoszące się na wodzie łodzie. Ale były one znacznie mniejsze niż te, które rozciągały w morze dwudziestomilowy film oleju. Te łodzie nie pływały tam i z powrotem. Większość z nich wyglądała na zakotwiczone. Na niektórych jednak widać było jakiś ruch. Ludzie wychodzili za burtę, starając się nie rozpryskiwać wody, a z dna oceanu wydobywane były i wrzucane do łodzi jakieś rzeczy, po czym używane w tym celu kosze wracały do wody. W dłuższych odstępach czasowych – całkiem długich odstępach czasowych – ludzie wynurzali się spod wody, siadali na burtach łodzi i palili papierosy starając się nieco odpocząć.

Świeciło jasno słońce, ziemia była zielona, a nad całą tą morską sceną unosiło się wrażenie ogromnego spokoju. Jednak gdy mała łódź rekreacyjna z personelem Misji przysunęła się bliżej brzegu, wygląd rzeczy się zmienił. Kiedy znaleźli się w odległości jednej mili, masa zieleni wyglądająca na drzewa porastające brzeg aż do samej linii wody, w miejscach gdzie leśny gąszcz uległ zniszczeniu, zmieniała się ona w plątaninę potrzaskanych pni i oberwanych gałęzi. W odległości pół mili od brzegu, woda robiła się nieprzejrzysta. Pływały w niej różne rzeczy – dach domu; liście ozdobnego krzewu, niedaleko których wynurzały się na powierzchni ich korzenie, dokładnie wymyte. Obok łodzi kiwała się na morzu dziecięca zabawka. Wyglądała ona strasznie patetycznie. Opodal widać było unoszące się na falach wielkiego oceanu, egzotycznie wyglądające płaszczyzny i kąty trzech drewnianych stopni.

— Pomijając nieuchronną eksplozję składu paliwa — stwierdził sucho Hardwick — musimy dowiedzieć się czegoś o tym, co trzeba zrobić z ziemią, aby powstrzymać jej obsuwanie się. Mam nadzieję, że pamiętał pan, panie poruczniku, o zadawaniu bardzo wielu bezużytecznych pytań.

— Tak, panie inspektorze — odparł Barnes. — Starałem się, panie inspektorze. Pytałem o wszystko, co przyszło mi do głowy.

— Te łodzie, tam na wodzie?

Hardwick wskazał ręką na łódź, z której, kiedy wykonywał swój gest, w wodzie zanurzyło się z pluskiem coś w rodzaju drucianego kosza.

— Łódź ogrodnika, panie inspektorze — wyjaśnił Barnes. — Po tej stronie wyspy dno morskie opada tak powoli, że na nim znajdują się morskie ogrody. Skorupiaki z Ziemi nie przyjmują się tutaj, panie inspektorze, ale udają się jadalne rośliny morskie. Ogrodnicy uprawiają je tak jak na lądzie, panie inspektorze.

Hardwick sięgnął ręką w drugą stronę i ostrożnie pobrał swoją dwudziestą próbkę wody morskiej. Zmrużył oczy i oszacował odległość do brzegu.

— Próbuję wyobrazić sobie kogoś w masce do nurkowania i z motyką w ręku — stwierdził sucho. — Jaka tu jest głębokość?

— Jesteśmy pół mili od brzegu, panie inspektorze — rzucił szybko Barnes. — Powinno tu być około sześćdziesięciu stóp, panie inspektorze. Dno wydaje się mieć około trzy procentowy spadek, panie inspektorze. To kąt nachylenia dla mułu. Nie ma tutaj piasku, który umożliwiłby bardziej strome spadki.

— Trzy procent, to nieźle!

Hardwick wyglądał na zadowolonego. Wziął jedną ze swoich wcześniejszych próbek i przechylił ją, sprawdzając kąt, pod jakim układał się osad. Muł denny był tutaj zasadniczo taki sam jak gleba na lądzie. A gleba na wyspie była niesamowicie drobnoziarnista. W słodkiej wodzie unosiła się praktycznie jak koloid. W wodzie morskiej, oczywiście, tonęła z powodu zasolenia, które utrudniało powstawanie zawiesiny.

— Rozumie pan o co chodzi, tak? — zapytał. Gdy Barnes pokręcił przecząco głową, Hardwick wyjaśnił: — Prawdopodobnie za swoje grzechy miałem sporo do czynienia z bagiennymi planetami. Błoto ze słonego bagna jest zupełnie inne niż z słodkowodnego. Zasadniczy problem ludzi na lądzie polega na tym, że przez nawadnianie stworzyli oni obejmujące całą wyspę bagno, które tak się składa, że zostało odwrócone do góry nogami – błoto znajduje się na dole. Pytanie brzmi więc: czy może ono nabrać właściwości bagna słonego zamiast słodkowodnego, nie zabijając przy tym całej roślinności na swej powierzchni? Dlatego wypłynąłem po te próbki. W miarę zbliżania się do brzegu, woda powinna robić się bardziej słodka – na takim płytkim brzegu jak ten, z drenażem w tym kierunku.

Machnął ręką na szeregowca personelu Misji, na rufie łodzi.

— Bliżej brzegu, proszę.

Barnes natychmiast wtrącił:

— Panie inspektorze, używanie łodzi motorowych jest niedozwolone w pobliżu brzegu. Wibracje.

Hardwick wzruszył ramionami.

— Będziemy więc przestrzegać tej zasady. Chyba pobrałem wystarczająco dużo próbek. Jak daleko sięga ta błotna breja – przy powierzchni?

— Przy powierzchni, około dwustu jardów, panie inspektorze. Błoto ma konsystencję gęstej śmietany. Może pan popatrzeć, gdzie kończą się fale, panie inspektorze.

Hardwick popatrzył przez chwilę. Potem odwrócił wzrok.

— Er… panie inspektorze — powiedział Barnes nieszczęśliwym tonem. — Czy mogę o coś zapytać, panie inspektorze…?

Hardwick oznajmił kwaśno:

— Może pan. Ale odpowiedzi to czysta teoria. Te informacje nie przyniosą niczego dobrego, chyba że cała reszta problemu, przed którym stoimy, zostanie rozwiązana. Ale także rozwiązanie reszty problemu nie przyniesie niczego dobrego, jeśli ta część pozostanie nierozwiązana. Rozumie pan?

— Tak, panie inspektorze. Ale… inne wydają się bardziej… pilne, panie inspektorze.

Hardwick wzruszył ramionami.

Z pobliskiej łodzi doleciał krzyk. Ludzie wskazywali na brzeg. Hardwick rzucił spojrzeniem w stronę linii brzegowej.

Fragment wydawałoby się stałego gruntu przesuwał się powoli w stronę wody. Jego czoło zdawało się rozpadać, a osobliwie wolno poruszający się ogon wysunął się ponad pozbawioną fali krawędź morza, gdzie ławice błota, jak gruba śmietana, sięgały samej powierzchni wody.

Ruchoma masa miała dobre pół mili szerokości. Jej zewnętrzna krawędź rozpłynęła się w morzu, wierzchołek wypiętrzył się, a zielona roślinność pochyliła się pod wiatr i wydawałoby się kompletnie celowo opadła w wodę. W niezwykły sposób przypominało to ruch, z jakim sztabka szlachetnego metalu zsuwa się do kałuży powstałej w wyniku jej własnego topnienia.

Jednak to co wydarzyło się później, było w pewnym sensie przerażające. Kiedy już cała ziemia się rozpuściła – a trawa kłębiła się jak pływająca na wodzie łąka - w nabrzeżnym lądzie pozostała poszarpana, płytka szczelina. Widać było w niej nieregularności: pionowe rowki i nierówności w odsłoniętej, pokruszonej glebie.

Hardwick uniósł szkła i przyłożył je do oczu. Brzeg zdawał się przesuwać w jego stronę. Widział, jak ostre kontury tymczasowej skarpy, łagodnieją. Jej spód nie wyglądał już, jakby tworzyła go ziemia. Wyraźnie błyszczał. Przesuwał się ku morzu masą, która pęczniejąc stawała się coraz bardziej okrągła. Spływał do morza w ślad za znikającym już w wodzie materiałem ziemnym, który zjechał wcześniej. Górna warstwa gleby została nagle podcięta. Mokra warstwa pod nią zsunęła się, pozostawiając bańkę, na której widać było starannie wypielęgnowane kwitnące krzewy – Hardwick mógł nawet dostrzec barwne plamki ich

kwiatów – oraz jasny kolorowy, mały domek do niedawna zamieszkany przez jakąś rodzinę.

Zsunięcie się głębszej warstwy ziemi sprawiło, że pod powierzchnią powstało coraz większe, jamiste zagłębienie. Zaczęło się zapadać. Dom zachwiał się. Przewrócił się. Rozpadł się na kawałki. Kolejne partie ziemi zjeżdżały w dół, coraz więcej i więcej.

Wkrótce w masie zieleni na brzegu wody, pojawiło się zagłębienie, coś w rodzaju doliny prowadzącej w głąb lądu, z dala od morza. Nadal było zielono, ale przez szkła lornetki Hardwick mógł dostrzec, że drzewa poprzewracały się, a pomalowany na biało płot został rozszczepiony na pół. I wciąż coś tam się poruszało.

Ruch zwalniał i zwalniał, ale nie można było powiedzieć, kiedy się wreszcie zatrzymał. Tak prawdę mówiąc, to do końca się nie zatrzymał. Gleba wyspy wciąż zsuwała się do oceanu.

Barnes wciągnął głęboki oddech.

— Uff… myślałem, że to już, panie inspektorze — oznajmił drżącym głosem. — To znaczy… że cała wyspa zacznie się osuwać.

— Tu w dole ziemia jest nieco bardziej nasiąknięta wodą — wyjaśnił krótko Hardwick. — W głębi lądu gleba nie jest nawet w połowie tak płynna jak tutaj. Ale nie chciałbym teraz naprawdę silnych opadów!

Myśli Barnesa wróciły do biura dowódcy sektora.

— Stukot kropli mógłby wysadzić paliwo okrętowe?

— Obok innych rzeczy — potwierdził Hardwick. — Tak. — Potem gwałtownie oznajmił: — Jak dobry jest pan w precyzyjnych pomiarach? Kręciłem się trochę po bagiennych planetach. Wiem aż za dużo, o tym wszystkim co powinienem wiedzieć, a to nie sprzyja dokładności. Czy może pan wziąć te butelki z próbkami i zmierzyć tempo sedymentacji oraz wykreślić je względem poziomu zasolenia?

— T-tak, panie inspektorze. Spróbuję, panie inspektorze.

— Gdybyśmy mieli wystarczająco duże ilości koagulantów gleby — stwierdził Hardwick z irytacją, — moglibyśmy dać sobie radę z tym odwróconym do góry nogami bagnem, które cywile tak pieczołowicie tutaj stworzyli. Ale nie mamy ich! Za to odsolona woda morska, którą nawadniają ziemię, jest praktycznie pozbawiona minerałów! Chciałbym wiedzieć, jak duża zwartość minerałów w wodzie sprawiłaby, że błoto bagienne przestałoby się zachowywać jak mokre mydło. Jest zupełnie możliwe, że aby zakotwiczyć glebę, musielibyśmy ją uczynić zbyt słoną, aby cokolwiek dało się na niej uprawiać. Ale ja chcę to wiedzieć!

Barnes powiedział z niechęcią:

— Czy nie musiałby pan, panie inspektorze… nie musiałby pan rozpuścić minerałów w nawadniającej wodzie, aby dostarczyć je do… bagna?

Hardwick uśmiechnął się, zaskakująco.

— Ma pan moje słowo, Barnes! Tak. Zrobiłbym to. I zwiększyłoby to tempo osuwania się ziemi, zanim by ją zatrzymało. Co może być kolejnym problemem. Ale pomyślenie o tym, to była dobra robota! Kiedy wrócimy do Kwatery Głównej, pan będzie dowodził laboratorium i wykona dla mnie te pomiary.

— Tak jest, panie inspektorze — odpowiedział Barnes.
— No to, bierzemy się za powrót — zakomenderował Hardwick.

Łódź posłusznie zawróciła. Wypłynęli z powrotem w morze, aż woda przepływająca obok kadłuba zrobiła się krystalicznie czysta. A Hardwick zdawał się odprężać. Po drodze mijali kolejne małe łódki. Spora część z nich były to łódki ogrodników, z których ludzie w maskach na twarzach nurkowali by wykonywać zabiegi pielęgnacyjne lub zbierać plony z uprawianych niezbyt głęboko w dole, poletek ogrodniczych. Jednak równie wiele, były to łodzie wykorzystywane do rekreacji, od dwukadłubowych żaglówek przeznaczonych wyłącznie do uprawiania sportu, do solidnych, choć małych stateczków kabinowych, które mogły wypływać daleko w morze, a nawet pływać wokół nawietrznej części wyspy w celu uprawiania wędkarstwa sportowego. Wszystkie jednostki pływające były zatłoczone - zazwyczaj były tam dzieci - i można było zauważyć, że na każdej z nich zawsze część twarzy zwróconych było w stronę brzegu.

— Cała ta sprawa — zauważył Hardwick — skłania do emocjonalnego myślenia. Ci ludzie wiedzą na czym polega zagrożenie. Więc załadowali swoje dzieci i żony na te małe stateczki, aby spróbować ich uratować. Czekają tutaj na morzu, aby stwierdzić, czy mimo wszystko są skazani na śmierć. Nie powiedziałbym… — skinął w stronę delikatnie zbudowanego dwukadłubowego żaglowca, na którego pokładzie było więcej dzieci niż dorosłych — nie nazwałbym tej łódeczki dobrym substytutem Arki!

Młody Barnes skrzywił się. Łódź znów skręciła i popłynęła równolegle do brzegu w kierunku, gdzie ziemia należąca do Kwatery Głównej schodziła do morza. Tam ziemia była twardsza. Nie było tam prowadzone nawadnianie. Przesączanie z boku poczyniło pewne szkody na skraju chronionego terenu, ale większa część linii brzegowej była nieprzerwana, niezmieniona, solidna, górująca nad plażą. Na brzegu wody nie było oczywiście piasku. Nie doszło do procesu wietrzenia skał, które by go wytworzyło. Kiedy ta wyspa została wyniesiona, jej powłoka ze stwardniałego mułu chroniła skałę. Niewielkie fale strony zawietrznej, zaledwie ocierały się o nagą, wyżłobioną skałę. Pomost dla łodzi wycieczkowych wychodził na metalowych palach w głęboką wodę.

— Proszę mi wybaczyć, panie inspektorze — stwierdził młody Barnes z zakłopotaniem, — ale… jeśli paliwo wybuchnie, to będzie całkiem źle, panie inspektorze.

— To niedopowiedzenie stulecia — skomentował jego słowa Hardwick. — Tak, będzie. Dlaczego pan pyta?

— Chodzi panu coś po głowie, panie inspektorze, aby spróbować uratować resztę wyspy. Jak się wydaje, nikt inny nie ma pojęcia, co robić. Jeśli… jeśli mogę tak powiedzieć, panie inspektorze, pańskie… bezpieczeństwo jest dość ważne. A mógłby pan wykonywać swoją pracę z klifach, panie inspektorze, i… jeśli mógłbym zostać w Kwaterze Głównej i…

Przerwał, zbulwersowany własnym zarozumialstwem kryjącym się w sugestii, że mógłby zastąpić starszego oficera nawet jako chłopiec na posyłki, i nawet dla jego wygody lub bezpieczeństwa. Zaczął się jąkać:

— Ja m-mam na myśli, panie inspektorze… n-nie chodzi mi o to, żebym był w stanie to robić, pani inspektorze…

— Niech pan przestanie się jąkać — chrząknął Hardwick. — Nie ma dwóch oddzielnych problemów. Jest jeden, który jest zlepkiem tych dwóch. Ja zostaję w Kwaterze Głównej, aby spróbować czegoś w sprawie paliwa dla statków, a Werner będzie się zajmował resztą wyspy, ponieważ nie wymyślił niczego, poza przeniesieniem ludzi na pak lodowy. A sytuacja wcale nie jest beznadziejna! Jeśli przytrafi się trzęsienie ziemi albo sztorm, to oczywiście zostaniemy starci z powierzchni ziemi. Ale w przypadku jeśli taka katastrofa się nie wydarzy, możemy uratować część wyspy. Nie wiem jak dużą, ale jakąś. Pan ma dokonać tych pomiarów. Jeśli ma pan wątpliwości, proszę posadzić człowieka z Kwatery Głównej aby zduplikował pańskie działania. Potem proszę dać mi oba zestawy.

— T-tak jest, panie majorze — powiedział Młody Barnes, żałośnie.

— I powiedział Hardwick z naciskiem. — Proszę nigdy więcej nie próbować wypchnąć swojego przełożonego w bezpieczne miejsce, nawet jeśli jest pan gotów przejąć jego ryzyko! Czy chciałby pan, aby pański podwładny próbował umieścić pana w bezpiecznym miejscu, podczas gdy on wziąłby na siebie ryzyko, które było pańskie?

— N-nie, panie inspektorze! — przyznał bardzo młody porucznik. — Ale…

— Wykonać te pomiary! — warknął Hardwick.

Łódź podpłynęła do przystani. Hardwick wysiadł z niej i poszedł do biura Sandringhama.

Sandringham był w trakcie wysłuchiwania z ekranu telefonu kogoś, kto najwyraźniej znajdował się na samej krawędzi histerii. Brązowy pies leżał na dywanie, rozłożony do snu.

Kiedy mężczyzna na ekraniku zakrztusił się i przerwał, Sandringham spokojnie wszedł mu w słowo:

— Jestem pewien, że zanim sytuacja związana ze stanem gleby na wyspie posunie się zbyt daleko, zostaną z dobrym skutkiem zastosowane, przygotowywane obecnie rozwiązania. Starszy oficer Misji zajmuje się właśnie odpowiednimi środkami zaradczymi. Jest on… eee… specjalistą od problemów dokładnie tej natury.

— Ależ nie możemy czekać! — wydyszał gwałtownie cywil. — Ogłoszę planetarny stan wyjątkowy! Przejmiemy obszar strzeżony siłą! Musimy…

— Jeśli pan tego spróbuje — powiedział mu ponuro Sandringham, — wystawię działa paraliżujące, aby pana powstrzymać! — Oznajmił z lodowatą precyzją: — Namawiałem rząd planetarny, by dał sobie spokój z tym nawadnianiem! Sam mnie pan potępił w Radzie Planetarnej za próbę ingerencji w sprawy cywilne! A teraz chce pan wtrącać się w sprawy Misji!

Jestem temu przeciwny tak samo, jak pan wtedy, i to z dużo lepszych powodów!

— Morderca! — wysapał cywil. — Morderca!

Sandringham z trzaskiem wyłączył ekran telefonu. Wykręcił krzesło i skinął na Hardwicka.

— To był prezydent planety — stwierdził sucho.

Hardwick usiadł na swoim miejscu. Brązowy pies zamrugał oczami, a potem wstał i otrząsnął się.

— Trzymam tych idiotów poda naszym terenem! — oznajmił dowódca Sektora z tłumioną furią. — Nie śmiem mu powiedzieć, że tutaj jest jeszcze bardziej niebezpiecznie niż na zewnątrz! Jeśli, a właściwie kiedy, to paliwo wybuchnie… Zdajesz sobie sprawę, że upadek jednej gałęzi z drzewa może wywołać eksplozję w naszym obszarze chronionym, która byłaby… Ale ty przecież wiesz.

— Tak — przyznał Hardwick.

Wiedział. Nawet czterdzieści ton paliwa dla statków wybuchając zniszczyłoby cały ten koniec wyspy. Byłby to co najmniej odpowiednik eksplozji bomby termojądrowej o mocy megatony. I prawie na pewno jego wstrząs wywołałby gwałtowne ruchy powierzchni reszty wyspy. Jednak czuł się zdenerwowany, przedstawiając własne pomysły. Nie był dobrym sprzedawcą. Zawsze poddawał w wątpliwość swoje poglądy, dopóki nie udowodnił ich z niezwykłą starannością – z obawy, że zostaną one przyjęte ze względu na jego dotychczasowe osiągnięcia, a nie dlatego, że były sensowne. I dopiero wtedy jego plan zakładał informowanie młodszych rangą o propozycji. Gdyby zaakceptowali wątpliwy plan z powodu wysokiego autorytetu jego twórcy, a ten plan by się nie powiódł, oznaczałoby to, że mieli swój udział w jego błędzie. A to by szkodziło ich pewności siebie. Młody Barnes, teraz już bez najmniejszej wątpliwości, wykonałby każdy jego rozkaz i w ciemno przyjął każdą wskazówkę, a Hardwick szczerze nie wiedział, dlaczego. Natomiast jeśli chodzi o kwestię szkolenia młodszych oficerów – to…

— Odnośnie tego, co jest do zrobienia — zauważył Hardwick, — to wyobrażam sobie, że instalacje do odsalania wody morskiej zostały wyłączone?

— Zostały! — krótko potwierdził Sandringham. — Nalegali na ich tworzenie nie zważając na moje protesty. Teraz, gdyby ktoś zaproponował włączenie którejś z nich, wrzeszczeliby w niebogłosy!

Hardwick poczuł rozczarowanie.

— Co zrobiono z minerałami uzyskanymi z wody morskiej?

— Wiesz, jak działają odsalacze! — powiedział Sandringham. — Pompują wodę morską z jednego końca, a z drugiego, jedna rura podaje słodką wodę, a druga ciężką solankę. Wyrzucają ciężką solankę z powrotem do morza, a słodka woda jest pompowana dalej i rozprowadzana przez systemy nawadniające.

— Szkoda, że chociaż część soli nie była gromadzona — stwierdził Hardwick. — Czy można by ponownie uruchomić odsalacz?

Sandringham oznajmił z ironią:

— Och, cywilom by się to naprawdę spodobało! Nie! Gdyby ktokolwiek uruchomił jakiś odsalacz wody, cywile by go zabili i rozwalili instalację w kawałki!

— Myślę jednak, że będzie nam potrzebny. Przydałoby się nawodnić trochę ziemi tutaj.

— Mój Boże! A po co? — zaczął dopytywać się Sandringham. Potem powiedział krótko: — Nie! Nie mów mi! Pozwól mi spróbować rozgryźć to samemu.

Zapadła cisza. Brązowy pies mrugnął do Hardwicka. Ten wyciągnął rękę. Pies podszedł do niego leniwie i pochylił głowę, by dać się podrapać. Hardwick zaczął go drapać.

Po dłuższej chwili dowódca Sektora warknął:

— Poddaję się. Czy zechcesz mi wyjaśnić?

Hardwick cierpliwie wyjaśnił:

— W pewnym sensie kłopot polega na tym, że pod ziemią mamy bagno, powstałe w wyniku nawadniania. Ono się ślizga. Tak naprawdę jest to bagno do góry nogami. Na Soris II mieliśmy bardzo podobny problem, tylko że tam bagno było właściwą stroną do góry. Mieliśmy kilkaset mil kwadratowych bagna, które można by było wykorzystać, gdybyśmy dali radę je osuszyć. Zbudowaliśmy wokół niego tamę ziemną. Zna pan tę sztuczkę. Wierci się dwa rzędy otworów w odległości 20 stóp od siebie i umieszcza w nich środek koagulujący glebę. To stare, bardzo stare rozwiązanie. Używali go kilkaset lat temu na Ziemi. Koagulant rozpływa się we wszystkich kierunkach i… no cóż… koaguluje ziemię. Sprawia, że staje się ona wodoszczelna. Środek pęcznieje pod wpływem wody i wypełnia przestrzeń między cząsteczkami gleby. W ciągu tygodnia lub dwóch powstaje wodoszczelna bariera z ziemi, sięgająca aż do skały macierzystej. Można to nazwać koferdamem[1]. Woda nie może się przez niego przedostać. Na Soris II wiedzieliśmy, że jeśli uda nam się usunąć wodę z błota wewnątrz tego koferdamu, otrzymamy ziemię uprawną.

Sandringham zauważył sceptycznie:

— Ale to wymagałoby dziesięciu lat pompowania, co? Kiedy błoto się nie przemieszcza, pompowanie nie jest łatwe!

— Chcieliśmy mieć ziemię — odparł Hardwick. — A nie mieliśmy dziesięciu lat. Kolonia na Soris II miała odciążyć presję populacyjną na innej planecie. Presja ta była ogromna. Musieliśmy być gotowi na przyjęcie części kolonistów w ciągu ośmiu miesięcy. Trzeba było odprowadzić wodę szybciej niż można ją było przepompowywać. No i mieliśmy jeszcze jeden problem z tym związany. Roślinność bagienna była dosyć zabójcza. Trzeba było jej się pozbyć. Więc zrobiliśmy tamę i… no cóż… zastosowaliśmy pewne środki, a potem nawodniliśmy bagno. Wodą z pobliskiej rzeki. To było niesamowicie trudne. Ale w ciągu czterech miesięcy otrzymaliśmy

[1] Koferdam – tymczasowa konstrukcja hydrotechniczna, stosowana jako grobla stawiana podczas prac wodnych w celu ich wykonania w środowisku bez wody (np. suchy dok dla statków) (przyp. tłum.).

suchą ziemię, ze zniszczoną bagienną roślinnością, zmieniającą się z powrotem w humus.

— Powinienem czytać twoje raporty — stwierdził cierpko Sandringham. — Jestem zbyt zajęty, zwykle. Ale powinienem je czytać. Jak pozbyłeś się wody?

Hardwick wyjaśnił mu. Czuł się przy tym niezręcznie. Cała historia zajęła mu kilkanaście słów.

— Oczywiście — dodał — wybraliśmy dzień, kiedy wiał silny wiatr z odpowiedniego kierunku.

Sandringham wpatrywał się w niego przez chwilę. Potem zauważył z zakłopotaniem:

— Ale jak to się ma do sytuacji tutaj? To było dość rozsądne, choć nigdy bym na to nie wpadł. Ale co to ma wspólnego z naszą sytuacją?

— To… bagno, jak można by je określić — odparł Hardwick, — jest pod ziemią. Ale na górze jest średnio czterdzieści stóp gleby.

Wyjaśnił starannie, jaką to robi różnicę. Zajęło mu to trzy zdania, aby różnica ta stała się jasna.

Sandringham odchylił się do tyłu w swoim krześle. Hardwick drapał psa, nieco zakłopotany. Sandringham myślał skoncentrowany.

— Nie widzę żadnej możliwości — oznajmił Sandringham z niesmakiem — aby zrobić to w jakikolwiek inny sposób. Nigdy bym na to nie wpadł! Ale co najmniej dziewięćdziesiąt procent ludzi na tej wyspie, licząc razem cywilów i funkcjonariuszy Misji, zginie, jeśli czegoś nie zrobimy. A więc zrobimy to w ten sposób. Ale zabieram to z twoich rąk, Hardwick.

Hardwick nic nie powiedział. Czekał.

— Ponieważ — wyjaśnił Sandringham — nie jesteś człowiekiem, który byłby w stanie przekazać cywilom rzeczy, w które muszą wierzyć. Nie potrafisz wywierać wrażenia. Znam cię i wiem, że jesteś dobrym człowiekiem w potrzebie. Ale w tej sytuacji potrzebny nam jest sprzedawca. Powiem więc Wernerowi, żeby przekazał to… eee… rządowi planety. Wyniki są ważniejsze niż sprawiedliwość, więc to Werner poprowadzi tę sprawę.

Hardwick lekko się skrzywił. Ale Sandringham miał rację. Nie wiedział, jak wywierać wrażenie. Nie potrafił przemawiać z pompatycznym przekonaniem, które dla większości ludzi jest o wiele bardziej przekonujące niż rozumne argumenty. Nie był człowiekiem, który mógłby pozyskać współpracę ludności spoza służby, ponieważ potrafił tylko wyjaśnić co wiedział i w co wierzył, a nie był wprawny w przekonywaniu. A Werner był. Miał talent do sprawiania, że ludzie wierzyli we wszystko co mówi, nie dlatego że było to rozsądne, ale dlatego że było to przekazane w oratorski sposób.

— Sądzę, że ma pan rację — przyznał Hardwick. — Potrzebujemy cywilnej pomocy i to bardzo poważnej. Ja nie jestem człowiekiem, który mógłby ją zdobyć. On jest. — Nie powiedział nic o tym, że Werner jest człowiekiem, który potrafi zdobyć uznanie, niezależnie od tego czy na nie zasłużył czy nie. Poklepał psa po głowie i wstał. — Chciałbym mieć solidne zapasy środka koagulującego glebę. Muszę zbudować koferdam na terenie naszego terenu chronionego. Ale myślę, że dam sobie radę.

Sandringham popatrzył na niego poważnie, gdy ruszył do drzwi. Kiedy już miał zamiar za nimi zniknąć, Sandringham powiedział:

— Hardwick…

— Tak?

— Uważaj na siebie. Czy będziesz?

IV

W związku z tym starszy oficer Werner, z Misji Kolonialnej, otrzymał odpowiednie rozkazy od Sandringhama. Hardwick nigdy nie poznał szczegółów instrukcji, otrzymanych przez Wernera. Być może miały one charakter przekonywujących argumentów, a być może opierały na groźbie. W każdym bądź razie, Werner przestał opowiadać o przeniesieniu jakiejkolwiek części populacji wyspy na arktyczną pokrywę lodową, a zamiast tego zaczął często wygłaszać elokwentne przemówienia do mieszkańców planety na temat naukowych środków, dzięki którym ich życie miało zostać uratowane. W przerwach między przemówieniami, być może, oblewał go zimny pot, gdy jakieś drzewo spokojnie przechyliło się w czymś co wydawało się solidną ziemią, lub gdy jakiś budynek osiadł zauważalnie, kiedy na niego patrzył, lub gdy… powiedzmy… część gleby wyspy wybrzuszyła się do góry.

Publicznie stanął na czele komitetów obywatelskich, z rozmachem udzielał instrukcji i przemawiał niezrozumiałymi, a przy tym niezwykle naukowymi słowami, gdy zdesperowani ludzie prosili o wyjaśnienia. Ale był absolutnie precyzyjny w tym, co chciał, aby zrobili.

Chciał, aby w ziemi uprawnej wywiercono otwory aż do głębokości, na której otwory zaczynają się same zamykać. Chciał, żeby otwory te były oddalone od siebie o nie więcej niż sto stóp, w rzędach nachylonych pod kątem czterdziestu pięciu stopni do gradientu nachylenia skały macierzystej.

Sandringham sprawdzał jego przemówienia, w tempie czterech dziennie. Raz kazał wezwać Hardwicka, z miejsca gdzie nadzorował on wyjątkowo trudne operacje. Hardwick był wymazany szarawym błotem wyspy, gdy patrzył w ekran telefonu, odebrawszy połączenie.

— Hardwick — powiedział kurtuazyjnie Sandringham, — Werner mówi, że te otwory, których potrzebujesz, mają być w rzędach pod kątem czterdziestu pięciu stopni do gradientu nachylenia.

— To… Chciałbym trochę więcej — odparł Hardwick. — A raczej trochę mniej. Gdyby skos wyniósł trzy mile w poprzek spadku na każde dwie w dół, byłoby lepiej. Chciałbym, żeby zrobili dużo więcej rzędów tych otworów. Ale jest jeszcze element czasu.

— Każę mu wyjaśnić, że został źle zacytowany — powiedział Sandringham, ponuro. — Trzy w poprzek na dwie w dół. Jak naprawdę blisko siebie chcesz te rzędy?

— Nie chodzi o to, jak blisko — odparł Hardwick. — Muszę je mieć szybko. Jak wygląda barometr?

— W dół o jedną dziesiątą — przekazał Sandringham.

Hardwick powiedział:

— Cholera! Czy on ma dostatecznie dużo rąk do pracy?

— Ma wszystkich ludzi, jacy są — odparł Sandringham. — A ja zbudowałem wzdłuż klifów drogę, aby przyspieszyć ruch ciężarówek. Gdybym się odważył… i gdybym miał rury… położyłbym rurociąg.

— Później — stwierdził Hardwick ze zmęczeniem w głosie. — Jeśli ma wolnych ludzi, niech wyśle ich do pracy nad konwersją systemów nawadniających najpierw w tylnej części wyspy. Zróbcie z nich systemy odwadniające. Użyjcie pomp. Tak, żeby jeśli nadejdzie deszcz, nie był on rozprowadzany po glebie przez te wszystkie wspaniałe rowy. Zamiast tego niech woda będzie zbierana i albo wyrzucana z powrotem do morza przez klify, albo odprowadzana na dół, tak by nie mogła wsiąknąć w ziemię. Na daną chwilę, w każdym razie.

Sandringham powiedział spokojnie:

— Czy przyszło ci do głowy, co porządny, ulewny deszcz może zrobić z Kwaterą Główną i w konsekwencji z zaufaniem publicznym na tej wyspie, a więc z próbą by ktokolwiek zrobił cokolwiek, poza załamywaniem rąk, bo jest skazany na zagładę?

Hardwick skrzywił się.

— Ja tutaj nawadniam. Stworzyliśmy niewielkich rozmiarów jezioro i lodowy koferdam, a odsalacz wody pracuje przez całą dobę. Jeśli jest wolna siła robocza, powiedzcie im, aby przebudowali systemy nawadniające na odwadniające. To przynajmniej poprawi im nastroje.

Po tej rozmowie był bardzo zmęczony. Nakazywanie innym ludziom aby wykonywali pracę, która może skończyć się ich spektakularną śmiercią, niesie ze sobą pewne męczące aspekty. Fakt, że z pewnością zginie się razem z nimi, wcale nie zmniejszał napięcia.

Wrócił do swojej pracy. A ta zdecydowanie wydawała się najbardziej bezcelowym działaniem, jakie tylko może podjąć człowiek. Na stoku poniżej dokładnie oczyszczonego z ludzi terenu, na którym doszło do rozszczelnienia zbiorników z paliwem okrętowym – i to dosyć daleko pod nim – rozkazał ustawić wszystkie urządzenia chłodzące, jakie znalazł w magazynach. Ponieważ zapewnienie chłodzenia było niezbędne do przechowywania paliwa, było ich bardzo dużo. Umieścił w ziemi żelazne rury, którymi krążył środek chłodzący i w efekcie powstała ściana solidnie zamarzniętej ziemi, która miała kształt płytkiego U. To był koferdam. W zakrzywionej części tej litery „U" przepompował całe jezioro wody. Pompa perystaltyczna pompowała wodę morską spoza nawietrznej części wyspy, wylewając ją na ziemię – która natychmiast zmieniła się w błoto – a inna pompa perystaltyczna zasysała to błoto i wyrzucała je dalej w dół, poza linię rur zamrażających. Był to w gruncie rzeczy system hydraulicznego pogłębiania, jaki zwykle stosuje się w rzekach i portach. Kiedy wierzchnia

warstwa gleby jest jedynie dawnym mułem głębinowym, był to doskonały sposób pozbycia się materiału ziemnego. Przy tym, do wymywania ziemi, nie wymaga on wykonywania silnych uderzeń wodą, co mogłoby grozić wybuchem, gdy robi się to w pobliżu skały macierzystej, a w dodatku nie ma potrzeby stosowania przy pracy hałaśliwych, brzęczących maszyn.

Ale i tak było to bardzo stresujące przeżycie.

W jeden dzień przepompował spore jezioro wody. A potem wypompował je do sucha, starannie operując wodą, w miarę jak poziom gruntu obniżał się na coraz większą głębokość poniżej poprzedniej powierzchni. Pod koniec dnia przeciągnął się i kazał chwilowo zakończyć pompowanie.

Następnie, kazał rozciągnąć rurę z wodą morską, po wielkim kręgu wokół części terenu Kwatery Głównej, z zapasem obejmującego obszar pustego teraz kilometra kwadratowego ziemi, w której spoczywały głęboko zakopane zbiorniki paliwa. Tutaj również wszelkie wykopy wykonane zostały bez jednego brzęku młotka, łopaty czy kilofa. Wciśnięto w ziemię rury mające na końcu dysze, które wyrzucały część wody do tyłu. Tak więc, kiedy przepuszczano nimi wodę morską, ta wciskała je głębiej w ziemię siłą odrzutu wstecznych strumieni. I ponownie, było to możliwe tylko dzięki temu, że tutejsza gleba składała się z głębinowego mułu. Dysze wyrzucały w górę wiele szarawego błota, ale popychały rury do przodu aż do skały macierzystej. Tam zaś rury położyły się na niej i wymywały w jedną i drugą stronę tunele – przy tym tunele te przez cały czas pełne były wody.

Z wymytych tuneli, w miarę jak się wydłużały, do gleby w pobliżu skały macierzystej wydostawały się olbrzymie ilości morskiej wody. Była to woda morska. Silnie zmineralizowana. Osobliwą cechą wody morskiej jest fakt, że jest ona elektrolitem, zaś do właściwości elektrolitów należy koagulacja koloidów i zdecydowanie niechętne tworzenie zawiesin niewielkich cząstek stałych, które znajdują się na granicy koloidów. Generalnie mówiąc, woda z oceanu na Cannie III zamieniła ziemię w dobre, uczciwe błoto, w którym nie czuło się w ogóle śliskości mydła i przez które przesiąkała ona z zaskakującą łatwością.

Młody Barnes z zapałem nadzorował tę część operacji, od czasu gdy tylko została ona rozpoczęta. Zawstydził mu przydzielony personel Misji, wprawiając go w być może nadmierną pewność siebie.

— On wie, co robi — stanowczo oznajmił. — Popatrzcie tylko! Wezmę tę manierkę. To słodka woda. Tu jest trochę mydła. Zmoczcie je w słodkiej wodzie, a będzie się pieniło. Widzicie? Rozpuszcza się. Teraz spróbujcie rozpuścić je w wodzie morskiej! Spróbujcie! Widzicie? Soli dodaje się do gotowanych ubrań, żeby oddzielić mydło! — Wziął ten tekst z kawałkiem mydła od Hardwicka. — Woda morska nie będzie zmiękczać ziemi. Nie ma takiej możliwości! No, dalej, niech kolejna rura wypuści więcej słonej wody pod ziemię!

Jego robotnicy nie rozumieli, co robią, ale pracowali z zapałem, bo było to coś tajemniczego i było robione w jakimś celu. W wyniku tego, w dole, w hydraulicznie pogłębionym jeziorze, zaczęła przesączać się woda w postaci błota. Wtedy zadziałała kolejna rura, prowadząca od strony morza,

i błoto osiadło solidnie na dnie, nie rozpraszając się. To była niezbyt wielka rura, a ludzie, którzy ją kładli, byli mocno skonsternowani. Prowadziła ona do miejsca na brzegu, w którym znajdowała się odsalarnia wody. Lecz cała słodka woda wylewana była z powrotem do morza, zaś solanka – mocno nasycona solami z oceanu, niezdolna do rozpuszczenia ani jednego ziarnka jakiejkolwiek innej substancji – była przesyłana rurą do napełniania małego sztucznego jeziora.

Następnego dnia Sandringham znów zadzwonił do Hardwicka i znów Hardwick popatrzył ze zmęczeniem w ekran telefonu.

— Tak — tłumaczył Hardwick, — paliwo, które wyciekło, pojawia się. Rozcieńczone. Próbuję mierzyć jego stężenie w roztworze, dobierając ciężar właściwy wody z jeziora i solanki, a następnie umieszczając w każdym z nich elektrody. Paliwo jest żrące jak diabli. Daje inną siłę elektromotoryczną. Większą niż solanka o tej samej gęstości. Myślę, że mam to pod kontrolą.

— Czy chcesz rozpocząć jego dostarczanie? — dopytywał się Sandringham.

— Możecie zacząć wlewać je do otworów — powiedział Hardwick. — Jak wygląda barometr?

— Dziś rano spadł o trzy dziesiąte. Teraz stabilnie.

— Niech to diabli! — oznajmił Hardwick. — Przygotuję formy. Zamrożę je w plastikowych torbach wielkości wydrążonych otworów, więc będzie do nich pasowało. Kiedy będzie zamrożone mogą je nawet wcisnąć na samo dno.

Sandringham odparł bardzo ponuro:

— Nad paliwem okrętowym wykonano więcej cholernych prac technicznych niż nad jakąkolwiek inną substancją od zarania dziejów. Ale pamiętaj, że ten materiał wciąż może wylecieć w powietrze, nawet rozpuszczony w wodzie! Jego wybuchowość spada, ale nie znika!

— Gdyby tak się stało — ponuro powiedział Hardwick, — będzie pan mógł zaprosić do siebie ludność cywilną, aby usiadła na zadkach. Mam w tym jeziorze, które przepompowałem, mniej więcej czterdzieści ton paliwa okrętowego w roztworze solanki! Jest ono rozpuszczone w pięciu tysiącach ton solanki. Kiedy jesteśmy w pobliżu, nie mówimy głośniej niż szeptem. Chodzimy w filcowych kapciach i nigdy pan nie widział ludzi tak dla siebie uprzejmych! Zaczniemy ją zamrażać.

— Jak sobie z tym poradzicie? — dopytywał się z obawą Sandringham.

— Solanka zamarza w temperaturze minus trzydzieści — wyjaśnił Hardwick. — W roztworze jednoprocentowym, przy minus dziewiętnastu, paliwo jest czułe tylko na pięć procent. My operujemy nim właśnie przy minus dziewiętnastu. Myślę, że zwiększę ilość solanki i nieco bardziej ją schłodzę.

Machnął umazaną błotem ręką i odszedł.

Tego dnia z Kwatery Głównej Misji zaczęły wyjeżdżać ciężarówki na wałkach. Toczyły się delikatnie, bardzo delikatnie, a za nimi unosiła się

mgiełka schłodzonego powietrza. Wkrótce koło nich pojawili się ludzie w grubych rękawicach, którzy wyciągali z ciężarówek podłużne przedmioty, podobne do kiełbasek, zawiązywali ich końce i wpuszczali je do otworów wywierconych w wierzchniej warstwie ziemi, aż dotarły do miejsc, w których wilgoć sprawiała, że otwory się zasklepiały. Potem ludzie z Misji wpychali te zamrożone kiełbaski jeszcze dalej pod ziemię, za pomocą długich żerdzi o starannie wyściełanych – i chłodzonych – końcach. A następnie przechodzili do kolejnego otworu.

Pierwszego dnia pięćset takich kiełbasek zostało wepchniętych w otwory w ziemi, które to otwory, zgodnie z zamierzeniami, zamknęły się za nimi. Drugiego dnia było ich cztery tysiące. Trzeciego dnia było ich osiem. Czwartego dnia, roztwór paliwa okrętowego w jeziorze solanki, nie dawał już odpowiedniej siły elektromotorycznej w niewielkiej baterii-ogniwie zaprojektowanej tak, by wskazywać, ile tej żrącej substancji znajduje się jeszcze w solance. Hardwick pobrał próbki z płynu spływającego do jeziora. Nie było to już błoto. Solanka spływała po skale macierzystej i zostawiała błoto za sobą, ponieważ słona woda znacznie utrudniała tworzenie zawiesiny cząstek dawnego mułu głębinowego. Miał on praktycznie charakter koloidu. Słona woda niemal całkowicie go skoagulowała.

Solanka wypływająca z wymytych przez wodę morską tuneli nie wykazywała już w sobie śladów paliwa okrętowego. Hardwick zadzwonił do Sandringhama i zameldował mu o tym.

— Mogę powiadomić cywilów! — powiedział Sandringham. — Zebrałeś to, co wyciekło! To było niemożliwe do zrobienia…

— Niemożliwe wszędzie poza tym miejscem, z poręcznie rozmieszczoną tuż pod ziemią skałą macierzystą, do tego odpowiednio nachyloną — stwierdził Hardwick. — Ale nie polecałbym tego gdzie indziej. Może pan powiedzieć cywilom, że mogą wejść na teren strzeżony, jeśli mają ochotę. Będą tak jakby dryfować. Chcę pobrać trochę więcej paliwa okrętowego do reszty tych otworów. Ze zbiorników, które się nie rozszczelniły.

Sandringham zawahał się.

— Dwadzieścia tysięcy otworów — powiedział zmęczony Hardwick. — W każdy z nich wrzucone zostało sześćset bloków zamarzniętej nasyconej solanki, z mniej więcej jednym funtem rozpuszczonego paliwa okrętowego. Zaszliśmy już tak daleko. Równie dobrze możemy przejść resztę drogi. Jak tam barometr?

— W górę o jedną dziesiątą — odparł Sandringham. — Wciąż rośnie.

Hardwick patrzył na niego mrugając, bo miał już problemy z utrzymaniem otwartych oczu.

— Jedźmy dalej!

Sandringham zawahał się ponownie. Potem polecił:

— Kontynuujcie.

Hardwick machnął ręką na swoich współpracowników, dla których jego mocno już przyćmiony umysł czuł w tej chwili ogromny podziw, ponieważ byli zawsze gotowi do pracy, kiedy tylko zachodziła potrzeba, zaś potrzeba nie przestawała zachodzić już od pięciu dni z rzędu. Wyjaśnił bardzo

przejrzyście, że do zapełnienia pozostały jeszcze tylko trzy mile otworów, a zatem wystarczy, że pobiorą odpowiednią ilość paliwa okrętowego i zmieszają je starannie z odpowiednią ilością odpowiednio schłodzonej solanki, a następnie zamrożą w odpowiednich kiełbaskach…

Młody porucznik Barnes oznajmił z powagą:

— Tak jest. Ja się tym zajmę. Pamięta pan mnie, panie inspektorze! Zajmę się tym.

Hardwick dodał:

— Barometr podniósł się o jedną dziesiątą. — Jego oczy nie do końca były w stanie się skupić. — W porządku, panie poruczniku. Proszę działać. Obiecujący młody oficer. Doskonale. Usiądę tu na chwilę.

Kiedy Barnes wrócił, Hardwick już spał. Ostatnie sto pięćdziesiąt zamrożonych kiełbasek solanki i paliwa okrętowego wyszło z Kwatery Głównej w ciągu kilku godzin, a potem wszędzie zapanowała ogromna cisza.

Młody Barnes usiadł obok Hardwicka, grożąc każdemu, kto by choćby pomyślał o zakłócaniu snu inspektora. Kiedy Sandringham wezwał Hardwicka do telefonu, zamiast niego podszedł Barnes.

— Panie dowódco Sektora — oznajmił z ogromną formalnością. — Pan Hardwick spędził pięć dni bez snu. Jego zadanie zostało wykonane. Nie pozwolę go obudzić!

Sandringham uniósł brwi.

— Nie pozwoli pan?

— Nie pozwolę, panie dowódco Sektora! — odpowiedział młody Barnes.

Sandringham skinął głową.

— Na szczęście — stwierdził — nikt nie słucha. Ma pan całkowitą rację.

Z trzaskiem zakończył połączenie. Dopiero wtedy młody Barnes zdał sobie sprawę, że sprzeciwił się dowódcy Sektora, co jest czymś zdecydowanie bardziej niestosownym u młodszego oficera, niż zwykła próba instruowania go odnośnie uzupełniania zbiorników skafandra próżniowego.

Dwanaście godzin później Sandringham wezwał go jednak ponownie do telefonu.

— Barometr spada, panie poruczniku. Jestem bardzo zaniepokojony. Wydaję powiadomienie o zbliżającej się burzy. Nie wszyscy chcą tłoczyć się u nas, ale bardzo wiele osób, tak. Tłumaczę im, że chemikalia wpuszczone w ziemię mogą jeszcze nie do końca działać. Jeśli Hardwick się obudzi, proszę mu o tym powiedzieć.

— Tak jest — odpowiedział Barnes.

Nie zamierzał jednak budzić Hardwicka. Hardwick obudził się sam, pod koniec dwudziestogodzinnego okresu snu. Był sztywny i obolały, a w ustach czuł smak, jakby zjadł coś naprawdę paskudnego. Zmęczenie też może wywołać kaca.

— Jak barometr? — spytał, zaraz kiedy tylko otworzył oczy.

— Spada, panie inspektorze. Silne wiatry, panie inspektorze. Dowódca Sektora otworzył obszar strzeżony, dla cywilów, jeśli zechcą się w nim schronić.

Hardwick zaczął liczyć z trudem na palcach. Prawdę mówiąc oczywiście przydałby się bardziej złożony przyrząd obliczeniowy. Zazwyczaj nie liczy się na palcach, jak długo będzie trwał proces topnienia jednoprocentowego roztworu paliwa okrętowego w zamarzniętej solance i jak bardzo rozeszło się ono w odwróconym bagnie pod naciskiem czterdziestu stóp ziemi nad nim, czyli skali jego efektywnej koncentracji i rozproszenia pod ziemią.

— Myślę — w końcu oświadczył Hardwick, — że wszystko jest w porządku. Przy okazji, czy przerobili systemy nawadniające by działały w drugą stronę?

Młody Barnes nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Musiał posłać po informacje. W międzyczasie poczęstował Hardwicka kawą i jedzeniem. Hardwick wpadł w refleksyjny nastrój.

— Dziwne — stwierdził. — Niech pan tylko pomyśli, jakie szkody może wyrządzić czterdzieści ton paliwa okrętowego. Wysadzenie reszty składowiska i w ogóle. Ale nawet samo w sobie, oceniane jest ono potencjalnie na kilka tysięcy ton trotylu. Ciekawe, czym był ten trotyl, zanim stał się tonowym miernikiem energii? Wystarczy pomyśleć o jego eksplozji w jednym miejscu i to już jest przerażające! Ale teraz niech pan pomyśli o tej samej ilości energii zastosowanej do całych mil kwadratowych odwróconego bagna. Setek lub nawet tysięcy mil tego błota. Wie pan, panie poruczniku, że na Soris II wpompowaliśmy roztwór paliwa okrętowego w bagno, które chcieliśmy osuszyć? Zalaliśmy je nim i pozwoliliśmy mu nim nasiąknąć, aż wreszcie nadszedł dzień z ładnym, silnym, stałym wiatrem.

— Tak jest — powiedział z szacunkiem Barnes.

— Wtedy je zdetonowaliśmy. Nie mieliśmy nawet jednoprocentowego roztworu. To były raczej tysięczne części jednoprocentowego roztworu. Nikt jeszcze nie zmierzył prędkości propagacji eksplozji w suchym paliwie okrętowym. Ale zmierzono ją w rozcieńczonym roztworze. To nie jest prędkość dźwięku. Jest znacznie niższa. To czysto temperaturowy fenomen. W wodzie, przy dowolnym rozcieńczeniu, paliwo okrętowe wybucha tuż poniżej temperatury wrzenia wody. Nie wybucha od wstrząsu, gdy jest na tyle rozcieńczone, by doszło do jego całkowitej jonizacji – ale to wymaga cholernie dużego rozcieńczenia. Czy ma pan jeszcze trochę kawy?

— Tak, panie inspektorze — powiedział Barnes. — Już się robi.

— Rozlaliśmy roztwór paliwa okrętowego na tamtym bagnie, Barnes, i pozwoliliśmy mu działać. Ma ono wysoki współczynnik dyfuzji. Rozeszło się po błocie. I wreszcie nadszedł dzień, kiedy wiał odpowiedni wiatr. Wrzuciłem rozgrzaną do czerwoności sztabę żelaza do wody z roztworem paliwa okrętowego. To był najdziwniejszy widok jaki w życiu widziałem!

Barnes podał mu więcej kawy. Hardwick wziął łyk, kawa sparzyła mu język.

— Wybuchło ono w formie chmury pary — opowiadał dalej. — Z wody bagiennej, w której paliwo okrętowe było rozpuszczone. Nie wybuchło,

jako odrębna masa. Opowiadano mi później, że eksplozja rozchodziła się z prędkością tylko kilkuset stóp na sekundę. Widać było, jak ściana pary wędruje przez bagno. Para ta nawet nie miała jakiegoś specjalnie wysokiego ciśnienia. Rozległo się tylko szszszsz i pojawiła się chmura pary o wysokości pół mili, którą unosił wiatr. Zniknęła cała woda powierzchniowa na bagnie, a roślinność bagienna zmieniła się w papkę i była martwa. Tak więc — ziewnął nagle — uzyskaliśmy spłacheć ziemi uprawnej o rozmiarach dziesięć na pięćdziesiąt mil, gotowy dla przybywających kolonistów.

Ponownie pociągnął łyk kawy. Dodał refleksyjnie:

— Ta sztuczka – w pewnym sensie nie spowodowała ona eksplozji paliwa okrętowego. Wypaliła je. W wodzie. Wykorzystała energię paliwa do zagotowania wody. Potężna sprawa! Pozbyliśmy się przeciętnie dwóch stóp wody, licząc to, co zostało usunięte z błota. Kosztowało to… hmm… ułamek grama paliwa na jard kwadratowy.

Przełknął kawę. Pojawili się ludzie, którzy patrzyli na niego z troską. Wydawali się być bardzo zadowoleni, że znów się obudził. Na niebie piętrzyła się monstrualna ławica chmur. Nagle obrzucił ją wzrokiem.

— Zaraz! Jak długo spałem, Barnes?

Barnes powiedział mu. Hardwick potrząsnął głową, by ją oczyścić.

— Chodźmy zobaczyć się z Sandringhamem — stwierdził Hardwick, ciężko. — Chciałbym odłożyć odpalenie tak długo, jak się da, w ostatniej chwili przed spłynięciem tego wszystkiego do morza, po zawietrznej.

Wokół miejsca, w którym spał Hardwick, stali ubrudzeni błotem ludzie. Gdy ruszył – wciąż lekko oszołomiony – do czekającej na niego ciężarówki na wałkach młodego Barnesa, obrzucili Hardwicka spojrzeniami pełnymi satysfakcji. Ktoś chrząknął:

— Dobrze było z panem pracować, panie inspektorze — co jest mniej więcej takim wyrazem podziwu, jaki człowiek chętnie słyszał. Ci współpracownicy Hardwicka w pracy nad usuwaniem rozlanego paliwa okrętowego będą chwalić się tą pracą zawsze i wszędzie w przyszłości.

Potem ciężarówka ruszyła w poszukiwaniu Sandringhama.

Znaleźli go na klifach po nawietrznej stronie wyspy. Morze nie było już błękitno niebieskie. Miało ciemnoszary kolor. Na wodzie, cztery tysiące stóp w dole, widać było sporadyczne plamki białej piany. Pojawiły się ciemne chmury, które do tej chwili pokryły już praktycznie całe niebo. Daleko na morzu widać było małe łodzie, zmierzające ponuro w stronę krańców wyspy, aby ją okrążyć i skryć się po jej nawietrznej przed nadchodzącą burzą.

Sandringham przywitał Hardwicka z ulgą. Werner stał w pobliżu, szarpanymi ruchami otwierając i zamykając dłonie.

— Hardwick! — oznajmił serdecznie dowódca Sektora. — Werner i ja nie zgadzamy się. On jest przekonany, że odwrócenie działania systemów irygacyjnych w drugą stronę, tak aby stały się powierzchniowymi systemami odwadniającymi, w efekcie, załatwi całą sprawę. Dodanie pod

ziemię solanki, jego zdaniem, będzie miało dużo poważniejsze skutki. Mówi, że zrobienie czegokolwiek więcej byłoby błędem psychologicznym. Nie wspominał o tym wcześniej, gdyż ugodziłoby to w zaufanie społeczne do Misji.

Hardwick odparł krótko:

— Jedyne co może spowodować trwałą różnicę na tej wyspie, to nieco mniej wydajne działanie odsalaczy wody. Barnes ma odpowiednie wyliczenia. Sporządził je na podstawie pomiarów, które kazałem mu wykonać. Jeśli zakłady odsalające wodę nie będą usuwać z niej wszystkich minerałów morskich: jeśli nie sprawią, że woda do nawadniania będzie tak piekielnie miękka, że nie będzie się nadawała do mycia włosów, prania i tym podobnych rzeczy; jeśli będą produkować do nawadniania twardszą wodę, to bieżąca sytuacja już nigdy się nie powtórzy! Ale w tej chwili pod ziemią jest za dużo wody. Musimy ją usunąć, bo jeszcze nieco więcej spłynie jej pod ziemię w wyniku tej burzy, niezależnie od tego czy systemy odwadniania powierzchniowego będą działać, czy nie.

Sandringham wskazał na zawietrzną, gdzie ciemny, gęsty pochód istot ludzkich przemieszczał się w kierunku obszaru Misji pieszo i każdym możliwym typem pojazdu.

— Kazałem ich kierować do szop okrętowych i magazynów — powiedział dowódca Sektora. — Ale oczywiście nie mamy schronienia dla wszystkich ludzi. Myślę, że kiedy poczują się bezpiecznie, zaczną wracać do swoich domów, nawet poprzez burzę.

Niebo po nawietrznej robiło się coraz czarniejsze. Nad krawędzią klifu wiatr nie wiał już stałym strumieniem. Nadlatywał w ostrych porywach, w tej chwili już o niezwykłej gwałtowności. Mogły on sprawić, że człowiek chwiał się na nogach. Na powierzchni oceanu pojawiało się coraz więcej białych plamek.

— Łodzie — dodał Sandringham, — zostały zepchnięte. Po prostu nie było wystarczająco dużo ropy, by utrzymać film na powierzchni wody. Raporty radiowe zaczynały robić się histeryczne, kiedy kazałem im przekazać, opanowaliśmy sytuację na brzegu. Teraz uciekają w bezpieczne miejsce. Myślę, że zostaliby tam, próbując za pomocą lin holowniczych utrzymać film, gdybym nie powiedział, że mamy sprawy w garści.

Werner stwierdził, z napięciem:

— Mam nadzieję, że mamy!

Hardwick wzruszył ramionami.

— W tej chwili wiatr jest dobry i silny — zauważył. — Przekonajmy się. Ma pan przygotowany system odpalający?

Sandringham wskazał ręką. Stał tam zestaw akumulatorów wysokiego napięcia. Były one przeznaczone do wykonywania wybuchów na planetach pozbawionych powietrza, ale to nie miało znaczenia. Wychodzące z nich przewody rozciągały się jak węże, przez kilkaset stóp terenu, do bardzo niepozornej kupy szarawej ziemi, którą wyciągnięto z jednego z otworów. Przechodziły przez tę pośpiesznie usypaną stertę i ginęły pod ziemią. Hardwick chwycił za rączkę do odpalania. Zatrzymał się.

— A co z drogami? — spytał. — Z tej dziury może być trochę pary.

— Mamy zgodę na wszystko— odparł Sandringham. — Zaczynajmy.

Pojawił się podmuch wiatru wystarczająco silny, by powalić człowieka. W powietrzu rozchodził się głośny szum, gdyż sztormowy wiatr bił w ścianę skalną o wysokości czterech tysięcy stóp i przewalał się przez jej szczyt. W dole fale stopniowo się podnosiły. Niebo było szare. Morze miało ciemnoszary kolor. Po wodzie, daleko, daleko na nawietrznej, w kierunku wyspy maszerowała biała linia deszczu.

Hardwick wcisnął uchwyt odpalający.

Przez moment nic się nie działo, podczas gdy wiatr rozdzierał mu ubranie i miotał nim w miejscu, w którym stał. To była dosyć długi moment.

Potem z otworu zaczął się wydobywać biały opar. Był on idealnie biały. Po chwili buchnął z nagłą siłą. Nie był to w żadnym sensie wybuch, lecz jedynie silny strumień odparowanej wody. Następnie, sto metrów dalej, na trawiastej powierzchni pojawiła się mgła. Jeszcze dalej, jakieś pęknięcie w powierzchni ziemi wypuściło kurtynę białej pary.

Wszędzie dokoła, wzbijały się w powietrze i wpadały w sztormowy wiatr, małe kłęby pary. Godne uwagi było to, że para nie wypływała jako niewidzialny opar i nie skraplała się w powietrzu. Wydostawała się z ziemi w chmurach, już skondensowanych, ale wyrzucanych przez kolejne masy pary za nimi. To co wydostawało się spod ziemi, nie było parą jakoś super rozgrzaną. To była po prostu para. Nieszkodliwa para, jak z dziobków czajników do herbaty. Ale unosiła się ze wszystkich miejsc, wszędzie. Tworzyła ciężką powłokę oparów, którą zwiewał sztormowy wiatr. W ciągu kilku sekund cały półmilowy spłacheć ziemi zaczął wydzielać parę, po kilku kolejnych sekundach zjawisko to objęło następną milę. Gęsty, puszysty opar przetaczał się przez okolicę. Sztormowy wiatr mógł tylko mieszać ją i wymiatać.

Po kilku minutach nie było widać nawet kawałka wyspy, jedynie cienką linię klifów stojącą pomiędzy ciemną wodą z jednej strony, a śnieżnobiałymi obłokami pary wodnej, z drugiej.

— To nie może nikogo poparzyć, prawda? — spytał niespokojnie Barnes.

— Nie — odparł Hardwick, — przecież para musiała się przedostać przez czterdzieści stóp ziemi. Całkiem nieźle została również schłodzona, przejmując resztki dodatkowej wilgoci. Cała ta eksplozja rozprzestrzeniła się całkiem nieźle, co?

Biuro dowódcy sektora posiadało wysokie okna – właściwie tak naprawdę drzwi – które wychodziły na zielony trawnik, porośnięty dużą ilością drzew. W tej chwili na zewnątrz miała miejsce potężna ulewa. Wiatr targał mocno drzewami. Słychać było tumult i ryk oraz uderzenia podmuchów, o sile huraganu. Nawet cały budynek, w którym znajdowało się biuro dowódcy Sektora, drgał lekko na wietrze.

Dowódca Sektora promieniał. Brązowy pies wszedł niespokojnie do środka, rozejrzał się po pokoju i wolnym krokiem podszedł do Hardwicka. Z westchnieniem siadł obok jego krzesła.

— Chciałbym się tylko dowiedzieć — powiedział Werner z napięciem, — czy ten deszcz nie przyniesie z powrotem całej wody odparowanej przez eksplozję paliwa okrętowego?

Hardwick odparł niepewnie:

— Dwa cale deszczu byłyby to ciężki opad, jak mówił mi dowódca Sandringham. To właśnie brak ulewnych deszczy sprawił, że cywile zaczęli nawadniać ziemię. Jeśli weźmiesz pod uwagę zawartość energetyczną paliwa okrętowego, Werner – znaczny odsetek energii dostępnej w atomowym materiale wybuchowym – to wartość ta jest odrobinę zwodnicza. Przeliczając ją na jednostki cieplne, staje się ona znacznie ciekawsza. Wyzwoliliśmy pod ziemią tyle ciepła, że można by zagotować dwie stopy przesiąkniętej wodą gleby, pod całą powierzchnią wyspy.

Werner ostro oznajmił:

— I co się stanie, kiedy ciepło to przebije się do góry, przez glebę? Zabije roślinność, nieprawdaż?

— Nie — odpowiedział łagodnie Hardwick. — Ponieważ te dwie stopy wody, która została zamieniona w parę, faktycznie tam się znajdowały. Ciepłota dolnej warstwy gleby została podniesiona do temperatury przekazanej przez parę, pod ciśnieniem kilku funtów. Nie więcej. Ciepło już uciekło. W parze.

Rozjaśniła się płyta komunikatora. Sandringham włączył ją z trzaskiem. Jakiś głos wysoce oficjalnym tonem złożył raport.

— Dobrze! — odpowiedział Sandringham. Wysoce oficjalny głos odezwał się ponownie. — Dobrze! — odparł ponownie Sandringham. — Możecie przekazać statkom na orbicie, że mogą teraz lądować, jeśli nie przeszkadza im zmoknięcie. — Odwrócił się. — Słyszałeś to, Hardwick? Wywiercili nowe rdzenie próbne. Jest kilka mokrych miejsc, ale ziemia na całej wyspie jest tak samo twarda, jak wtedy, gdy Misja przybyła tu po raz pierwszy. Bardzo dobra robota, Hardwick! Bardzo dobra robota!

Hardwick zarumienił się. Sięgnął ręką w dół i poklepał brązowego psa po głowie.

— Popatrzcie! — stwierdził dowódca Sektora. — Mój pies, upodobał sobie ciebie. Czy przyjmiesz go w prezencie, Hardwick?

Hardwick uśmiechnął się szeroko.

Młody Barnes przygotowywał się do powrotu na swój statek. Zachowywał się stricte jak funkcjonariusz Misji, stał wyprostowany jak struna na baczność. Hardwick uścisnął mu dłoń.

— Miło było z panem pracować, panie poruczniku — powiedział ciepło. — Jest pan bardzo obiecującym młodym oficerem. Sandringham o tym wie i zanotował sobie ten fakt. Co, jak podejrzewam, będzie dla pana źródłem wielu kłopotów. Panuje diabelny niedobór obiecujących młodych oficerów. Będzie panu zlecał paskudne zadania do realizacji, bo zdaje sobie sprawę, że je pan wykona.

— Postaram się, panie inspektorze — odparł formalnie młody Barnes. Potem powiedział niezręcznie: — Czy mogę coś powiedzieć, panie

inspektorze? Jestem bardzo dumny z tego, że mogłem z panem pracować. Ale do cholery, panie inspektorze, wydaje mi się, że należało się panu coś więcej niż tylko podziękowanie! Misja, panie inspektorze, powinna…

Hardwick popatrzył na młodego człowieka z aprobatą.

— Kiedy byłem w pańskim wieku — stwierdził, — widziałem to tak samo jak pan. Ale zawsze otrzymywałem tę jedyną nagrodę, jaką mogła dać mi Misja lub ktokolwiek inny. Praca została wykonana. To jedyna nagroda, jakiej może się pan spodziewać w tej służbie, Barnes. Nigdy nie otrzyma pan żadnej innej.

Młody Barnes wyglądał jakby tłumił w sobie bunt. Ponownie uścisnęli sobie dłonie.

— Poza tym — dorzucił Hardwick, — nie ma żadnej lepszej.

Młody Barnes pomaszerował z powrotem w kierunku swojego okrętu, spoczywającego w wielkim gąszczu metalowych dźwigarów, tworzących sieć lądowniczą.

Hardwick odruchowo poklepał swojego psa. Skierował się z powrotem w stronę biura Sandringhama, by odebrać rozkaz powrotu do własnej pracy.

KONIEC